Nr. 20 (1220). **Warszawa, 1 (14) Maja 1904 r.** **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

O PREZYDENTURĘ.

Dnia 3 marca 1905 r. o północy ustaje władza dzisiejszego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Otrzymał on ją był jako bezpośrednią z rąk tej samej śmierci, która powaliła Mc Kinleya. Wybrano go tylko na wiceprezydenta; wypadek, korzystając z przepisu konstytucyi, oddał mu rządy nad związkiem. Rządy te sprawował Roosevelt w duchu swego poprzednika, w duchu całego stronnictwa republikańskiego, do którego wraz z nim należał. Rdzennemi zasadami republikanów są: w gospodarstwie materyalnem, ekonomicznem, utrzymanie waluty złotej, jako wyłącznej i jedynej, w gospodarstwie politycznem, wewnętrznem — rozdawanie posad republikanom, w międzynarodowem — stawanie się coraz doskonalsze czynnem mocarstwem — *empire*, skąd doktryna imperyalizmu, wszczepiona przez Mc Kinleya. Na te trzy promienie rozkłada się światło republikańskie; najbardziej charakterystycznym jest ostatni: przeciwstawność względem demokratów najjaskrawiej wybija się dziś w zakresie tych pojęć i poczuć, które wypychają Stany Zjednoczone na wielką widownię świata, nie jako wielką rzeczpospolitą, mającą swoiste ideały polityczne, swoistą organizacyę społeczno-polityczną, ale jako wielką zespólnię ludzką na równi z innymi lewiatanami powołaną przez naturę do żerowania w niezgłębionym oceanie dziejów.

Republikanom tak dobrze jest z Rooseveltem, że nikogo innego na nowe czterolecie nie chcą, jak tylko jego. Niema on też przeciw sobie żadnego współzawodnika i jeżeli istotnie w łonie tego ogromu, w który rozrósł się 3-milionowy zaledwie przy powstawaniu „naród amerykański," nie zmieniły się stosunki liczbowe przekonań i dążeń, najprawdopodobniej on wybrany będzie na prezydenta w grudniu r. b. Demokraci nie są tak szczęśliwymi: mają wielu kandydatów, a żadnego z nich wystającego charakterem lub głową nad innych. Przypomniał się Grover Cleveland, dwukrotny już prezydent, ale ta dwukrotność właśnie przeciwko niemu przemawia: od czasu Waszyngtona, który po drugiej swej prezydenturze złożył władzę nieodwołalnie, zwyczaj ustalił nieprzekraczanie sakramentalnej liczby dwu okresów czteroletnich. Współzawodnikami Clevelanda są ludzie zupełnie nowi, a jeden z nich, według ogólnych zasad zdrowego rozsądku i niecałkiem zbrukanego sumienia politycznego — z góry wydaje się wyłączonym przez samą nikczemność swojego zawodu. Jest nim Hearst, nakładca niezliczonych pisemek i piśmideł peryodycznych, ilustrowanych i czernionych bez ilustracyi, milioner wyrosły ze skandalu, potwarzy i pornografii. Po za nim mamy jednego tylko Parkera, sędziego trybunału apelacyjnego z Nowego Yorku, jako kandydata poważniejszego i osobistością swoją i spodziewaną liczbą głosów.

Nazwiska jak Olney, Mc Clellan, Gorman — nic nie mówią nietylko Europie, ale i samej Ameryce. Najwybitniejszym jeszcze z nich jest ostatni, przewódca demokratów w senacie. Mc Clellan, major Nowego Yorku, ma za sobą wszystkich szachrajów i łupieżców z urzędu municypalnego, klubistów z Tamany-Hall, jaskini, na której czole dla bezpieczeństwa obywateli należałoby wypisać „strzeżcie się złodziei." Łupieztwo grosza publicznego, rozbijanie majątków małych przez wielkie w towarzystwach akcyjnych, obdzieranie łatwowierności i chciwości przez czyhającą na nie genialną już podłość — są obdarowaniami wspólnemi obu wielkim stronnictwom. Niby to republikanie, jeśli są nie lepsi, to przynajmniej chcą czegoś lepszego, jakiejś etyki, jakiejś uczciwości, którąby się liczyła nietylko z kodeksem karnym, krępowanym przez procedurę, ale i z sumieniem, tłumionem znowu przez powszechny obyczaj; ale w gruncie rzeczy i oni dla poprawienia moralności, dla uporządkowania stosunków uświęcających podstęp i przemoc ekonomiczną nie zrobili nic, a słynna zapowiedź Roosevelta przeciwko trustom — okazała się ostatecznie bębnem głośnym za górami: gdy przyszło do roboty, przebrany za idealistę prezydent czmychnął—a współwyznawcy jego polityczni bynajmniej ścigać go i przytrzymywać nie myśleli. Dobrze im jest wszystkim w błocie: waryat tylko chciałby morze szlamować.

Waluta srebrna nie daje dziś już takiego hasła, jakie pierś demokratyczna wyrzucać z siebie mogła jeszcze lat temu piętnaście, a nawet dziesięć. Rzeczywiście charakterystycznym dla demokratów jest obecnie tylko ich pogląd na ową republikańską stopę życia Stanów Zjednoczonych jako wielkiego mocarstwa. Pogląd ten jest ideałowi republikanów nieprzyjazny, jest wręcz mu wrogi. Przed jakimi dwoma tygodniami kandydat demokratyczny, ów Gorman, w senacie wystąpił ostro przeciw wydatkom na wojsko, głównie na flotę, zdaniem powszechnem, o ile go nie tłumi stronnicza namiętność, całkiem dla bezpieczeństwa rzeczypospolitej zbytecznym, a nasycającym tylko żądzę wielkomocarstwowości, rozpaloną przez wojnę z Hiszpanią i zdobycze po wojnie. Rozmiar tych

wydatków jest dziś ogromny— prawie 400 mil. dolarów! Jakiś statystyk obliczył, że w roku gospodarczym 1902—3 wydano o 32 mil. dol. więcej niż w Anglii, a o 131 mil. dol. więcej niż w Niemczech, o 139 mil. dol. więcej niż we Francyi. Chociażby te liczby nie miały być niewzruszonemi — wymowa ich wystarczy do uwydatnienia całej tej niebezpiecznej dla republikanizmu pochyłości, po której stacza się teraz idea rządu i państwa w Stanach Zjednoczonych. Z tej strony mogą demokraci dobrać się do umysłów wahających się, niepewnych, między obu obozami w niepewności wiszących: to też daje im główne hasło przedwyborcze, a konwencya w St. Louis, d. 6 czerwca odbyć się mająca, rozprowadzi je w szereg uchwał wytycznych dla stronnictwa i całego narodu. Zwycięztwo wszakże jest wątpliwem, chociaż nie ideał, ale interes ma być tu zwycięzcą—interes kieszeni czułej na grożące podatki. Szał wielkomocarstwowości ogarnia coraz większe masy, a rozwój militarny Europy do pewnego stopnia, nietylko go tłomaczy, ale i usprawiedliwia. Za Jeffersona wystarczały ideały, za Roosevelta trzeba już pancerników i tylko pancerników.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ta rozprawa bojowa, którą Japończycy stoczyli d. 1 maja na mandżurskim już, zachodnim brzegu rz. Jalu, nazywa się *bitwą pod Kiu-lien-czöngiem*, na mapie Malickiego *Tsin-tan-czen*, od miejscowości najmocniej obwarowanej, najsilniej bronionej, t. zw. klucza pozycyi. Nadają jej także nazwę Tu-renczeng; Japończycy znowu nazywają ją po swojemu, a jest jeszcze jedna nazwa — tak, iż w buletynie o walce panował zamęt polinymiczny, utrudniający zrozumienie jej przebiegu. Walka była krwawa; obie strony biły się z uporem męztwa, niedbającego o życie. Wojskiem rosyjskiem dowodził generał Zasulicz. Z bardzo szczegółowego sprawozdania naczelnego wodza, gen. Kuropatkina, który znajdował się podczas walki z główną armią mandżurską pod Liao-jangiem, o jakie 30 mil od Jalu, widać 1) że Japończycy okrążyli linię bojową rosyjską od północy (t. zw. lewe skrzydło); 2) że natarczywość ich była tak wielką i skuteczną, iż nie pozwoliła przeciwnikowi żadnej pozycyi utraconej odzyskać lub zdobyć nowej, wrzynającej się już w linię bojową japońską; 3) że głównym środkiem działania dla Japończyków był ogień artyleryi, z wielkich, dalekonośnych dział, których wciągnięcie na wzgórza, ustawienie w baterye i zamaskowanie było też najważniejszym czynem dowództwa japońskiego; 4) że piechota na bagnety szła już wtedy, kiedy pozycya główna była utracona, a opędzanie się nieprzyjacielowi, dla utrzymania się w jak największej zwartości taktycznej stanowiło jedyny cel walki; 5) że odwrót do Fyn(Föng)-huan-czöngu odbył się w warunkach o tyle korzystnych, iż Japończycy nie zakłócali go rzucaniem większych mas jazdy — i nakoniec 6) że konieczność opuszczenia pozycyi przyprawiła wojsko rosyjskie o utratę zrazu 16, a później jeszcze 8 kartaczownic i 6 dział, które wszakże popsuto, aby nieprzyjaciel nie mógł z nich korzystać.

Straty podane w raporcie generała Kuropatkina świadczą o wielkiej zaciętości boju. W obu dniach, 30-go kwietnia i 1 maja, wyniosły: w *zabitych*: 6 wyższych, 20 niższych ofic. i 564 szeregowców, w *ranionych*: 2 wyż. i 36 niż. ofic. i 1,081 szeregow., nadto 1 duchowny i 1 kapelmistrz. Oprócz tego pozostało po bitwie niewiadomo — zabitych czy ranionych: 1 wyższy, 5 niższych oficerów, 1 lekarz i 679 szeregowców, nie poddał się wszakże nikt. Wogóle ubyło z szeregów 70 oficerów i 2,342 szeregowców. Nadto jeszcze utonął w rz. Eicho kapitan generalnego sztabu Kurakin. Dotkliwa jest strata koni: 221, i to w artyleryi. Japończycy pierwotnie straty swe podali na 800, ale później, podczas walki w odwrocie utracili ok. 300 ludzi i 200 koni, gazety zagraniczne donoszą o stracie 4000 żołn.— Z dziejów najnowszych do porównania z bitwą majową możnaby wziąć bitwę pod Forbach-Saarbrücken, d. 6 sierpnia 1871 r., większemi, co, prawda stoczoną siłami, ale też nie tak morderczą, a dorównywającą w strategicznych skutkach.

Dnia 6 maja Japończycy zajęli, odległy na jakie 8 mil od pola bitwy, Föng-huang-czöng bez walki. Wojsko rosyjskie cofnęło się do Sza-tsy-hangu, skąd jedna droga prowadzi prosto na zachód do Hai-czengu na linii zachodniego wybrzeża Liao-tuńskiego, druga na północo-zachód do Liao-jangu. Gen. japoński Kuroki nie będzie się kwapił z pochodem naprzód: nie mając bowiem żadnego oparcia pomiędzy morzem a traktem, którym postępuje, zmuszony liczyć na własne tylko siły, musiałby posiadać armię niezmiernie już liczną, z jakie 100 tys. ludzi, aby mógł rozwinąć się na linii jak najrozciąglejszej, jedynie zabezpieczającej od natarć skrzydłowych; gdyby zaś nawet taką siłą rozporządzał, to i wtedy jeszcze górzystość kraju, brak dróg, nie pozwoliłyby mu, bez lekkomyślności, rzucić się naprzód, zanimby zmudnie a niebezpiecznie wojsko przez góry przeprowadził. W planie kampanii japońskiej, jako tako rozsądnym, musi tkwić wylądowanie albo na zachód od półw. Liatuńskiego, ok. Inkau, albo na wschód w Takuszanie, gdyż dopiero działanie współśrodkowe może armii głównej z pod Kiu-lien-czöngu dać bezpieczną podstawę strategiczną. Ponieważ, jak widać z przemowy komendanta twierdzy Port - Arturskiej, gen. Stessela, Japończycy d. 5 b. m. wylądowali na wschodniem wybrzeżu półwyspu, w Pi-tsu-uo (Bi-cu-wo), na równoleżniku Portu Adamsa (na wybrzeżu zach.), a z liczby 60 transportowców można domyślać się jakich 30 tysięcy wojska, bardzo więc być może, iż przeznaczeniem tej siły głównem jest pochód szybki na północ do Mandżuryi i owo współśrodkowe działanie w łączności z gen. Kuroki.

Umowa anglo-francuska o Marokko wywołuje żywą trwogę w jednych, energiczne pomysły w innych a lepszych obywatelach kraju; ale jedni i drudzy dają tylko z siebie reakcyę uczuć patryotycznych, nie zdolają już wydać polityki czynu. Hiszpania będzie przez Francuzów wzięta we dwa ognie, jeśli jej nie obronią Anglicy, jak za czasów Napoleona. Sprawy to jeszcze dość dalekie, ale się już widma ich wynurzają z samej umowy.

Stolica Apostolska zaprotestowała przeciwko — niewiadomo czemu - odwiedzinom Loubeta w Kwirynale, czy też zaniechaniu odwiedzin w Watykanie. Jest tam niby i jedno i drugie, ale mętne, i to tylko jasno widać z noty doręczonej p. Nisardowi, że papież trwa przy swych prawach z r. 1870, przy świeckiem panowaniu w Rzymie. Spodziewano się po Piusie X większej koncentracyi duchowej, łagodnego stoczenia się po pochyłości zapomnienia de tradycyjnego *tolerari posse* na punkcie nieodwołalnie już utraconej władzy świeckiej. Z własnego swego stanowiska kościół ma tyle praw do urzeczywistnienia, tyle zadań do spełnienia, że może i powinien pogodzić się z taktami rzeczywistości zewnętrznej, aby dbać tylko o wewnętrzną, o te idealne cele i znoje, które na sztandarze swoim wypisuje. P. Nisard dał upokarzającą odpowiedź, że rząd francuski uważa notę za nieistniejącą. Zostawałoby zerwanie stosunków, ale ani jedna ani druga strona nie odważy się na nie; również czcze są groźby Francuzów, że zerwą konkordat: jest on dla nich dogodniejszym, niż dla Watykanu.

Król serbski ma się koronować d. 15 czerwca; zniechęcony wszakże, wkrótce potem pra-

---

TOMASZ KRAG.

*

STARZY I MŁODZI.

Dziwni ci starzy żeglarze! W młodości niejedną zapewne zwalczyli trudność, aby się dostać na ocean. Może pewnego, pięknego ranka porzucili dom rodzinny, niepomni smutku, jaki pozostawiali za sobą?... Gdy jednak starość przyjdzie, największą ich przyjemnością obgadywać dawne i nowe okręty i odwodzić wszystkich młodych od puszczenia się na morze.

O synach swoich mówią stale: — O, mój chłopiec z pewnością nie będzie marynarzem! Niech sobie będzie, czem chce — nawet śmieciarzem, byle nie miał nic do czynienia z wodą.

Tak mawiał Emil Henriksen, nie chcąc pozwolić synowi iść na morze, chociaż mu się do niego rwała dusza. — Niech będzie subjektem, jak jego brat cioteczny; źle mu to? i przyodziewek ma porządny, nawet na powszedni dzień; nie zazna w tym stanie biedy — twierdził stary.

Marzyło mu się niegdyś, że Andrzej zostanie uczonym, posłał go więc do gimnazyum. Ale chłopcu nic w głowę iść nie chciało, prócz historyi o Tordenskjoldzie *) i Kolumbie.

A że w szkole to nie wystarczało przełożonym, więc nie puścili go wyżej; ojciec zabrał przeto chłopca z gimnazyum i oddał do handlu, pocieszając się: dzielny kupiec także się na coś w świecie przyda!

Ale trudna to była sztuka z tego Andrzeja. I tu nie był zadowolony, nic nie zrobił z dobrej woli.

Minęła tak jesień. Nadeszło Boże Narodzenie, a z niem dużo nowych towarów. Odbyt się zwiększył, ruch panował przez cały dzień. Andrzej nie umiał się zwijać i pełnomocnik nazwał go „krnąbrnym niezdarą."

Przyszło do ostrego starcia — doniesiono właścicielowi. Następnego dnia zjawił się tenże w sklepie i oświadczył, że Andrzej musi słuchać przełożonych, jeżeli chce pozostać w miejscu.

Gdy chłopak tego wieczora powrócił do domu, był niezwykle chmurny i milczący. Zapytany przez ojca, co mu jest, odparł wprost, że nie może wytrzymać w sklepie.

Stary odłożył gazetę, zmrużył oczy i spojrzał na syna:

— Cóż tam znowu nowego? Nie podoba ci się?.. I dlaczegóż to, jeżeli wolno zapytać? Czyż to niedobra rzecz stać sobie cicho, spokojnie w sklepie i mieć za to utrzymanie, a w dodatku kilka groszy i widoki, że będzie jeszcze lepiej?..

— Ja już taki jestem, że mogę tylko to robić, do czego jestem zdatny!

— He, he! Co za gadanie! tylko to, do czego jestem zdatny! He, he! A to mi powiedział!.. Póki żyjesz, zawsze się jeszcze dowiesz czegoś nowego!.. A niesłyszałeś to starego zdania: *może* się to, czego się *chce!* A więc *gdybyś* tylko chciał stać w sklepie, wszystko szłoby, jak należy, zobaczyłbyś. A myślisz, że to rozkosz być marynarzem? Niejedno znieść ci przyjdzie. Jak gdybyś nie miał co do ust włożyć! Z czasem znajdzie się i sposób, aby cię w świat puścić, jeżeli o *to* chodzi... Zostaniesz wielkim kup

*) Bohaterski żeglarz norweski.

gnie jakoby przekazać rządy najstarszemu synowi. Umowa z Bułgaryą będzie wkrótce ogłoszona: jest przy niej i konwencya wojskowa.

Ces. Wilhelm nad mostem moguckim wygłosił mowę, krótką i całkiem niewinną; dziennikarze jednak nie przestają ostrzeliwać go za złe zamiary przeciw Francyi, oczywiście, sprzymierzonej z Włochami — i z dziennikarzami.



Z Dalekiego Wschodu.

—•—

KLUCZ WSCHODU.

—•—

(Ciąg dalszy).

Podstawę korejskiego rolnictwa bezwarunkowo w całym kraju stanowi uprawa ryżu: Na oko pola ryżowe zajmują dwie trzecie, jeżeli nie więcej, przestrzeni uprawnych i wdzierają się na takie wysokości, na jakich nie spotyka się ich ani w Chinach, ani nawet w Japonii. Widziałem je również w szczelnie zamkniętych, górskich kotlinach, gdzie nie przepływał żaden potok i mowy być nie mogło o sztucznem zraszaniu. Ton-sa objaśnił mię, że zalewają je wody wiosenne, których dopływ, ilość i pobyt jest regulowany za pomocą całego systemu dowcipnych kanałów. Gdzieindziej widziałem rezerwoary do zbierania i przechowywania wód deszczowych i wiosennych, przeznaczonych na zasilanie pól. Istnieje zresztą w Korei gatunek ryżu górskiego (oryza montana), który wcale nie wymaga nawodnienia, zadowalając się wilgocią, jaką czerpie z powietrza i dżdżów. Niegdyś rósł dziko, i dzikie jego osobniki dotychczas można znaleźć na wierzchołkach gór korejskich. Ma on ziarno drobne, ale twarde, oporne na wpływy atmosferyczne i dlatego zakupywany bywa do magazynów wojskowych. Gdy ryż z nizin przy sprzyjających okolicznościach przetrwać może lat pięć, ryż górski nie psuje się nawet w ciągu lat dziesięciu *).

Głównie jednak uprawiane są dwa inne gatunki: ryż zwykły, siewny (oryza sativa, po korejsku — tap-kok) i ryż kleisty (oryza glutinosa, po korejsku—czun-kok). Oba są błotne i wymagają jednakowej hodowli, lecz pierwszy lepiej plonuje w nizinach, podczas gdy drugi woli pola wyniosłe i stoczyste. Aby na tych polach utrzymać czas jakiś wodę na poziomie wymagalnym, Korejczycy wzorem swych nauczycieli zachodnich ścinają zbocza gór w kształcie wielkich tarasów, otoczonych niewysokim zrębem glinianym. Nie czynią tego jednak z takiem mistrzostwem, jak Japończycy. Pola ich mają kształt niezgrabny i nie są trwałe; widziałem je często napół zasypane kamieniami, żwirem, lub zrujnowane przez powodzie górskie.

*) Hamilton: „Korea," str. 124.

Na zasiew używają krajowcy najlepszego ziarna ryżu, wybranego przy pomocy powszechnie znanego na Wschodzie sposobu. Wrzucają je do określonego procentowo roztworu zwykłej soli, poczem usuwają te, co spłynęły, a opadłe na dół sieją gęsto w ogrodzonych płotkami rozsadnikach, starannie choć niegłęboko skopanych i suto unierzwionych. Dzieje się to zwykle w miesiącu maju (w początkach *czwartego* księżyca korejskiego). Po zasianiu rozsadniki są niezwłocznie zalane wodą na 2—3 cali głęboko; wodę od czasu do czasu spuszczają, aby ziarna zetknęły się z powietrzem. Ryż kiełkuje i puszcza pióra pod wodą. Gdy już dostał trzeciego liścia, wodę usuwają zupełnie. W miesiąc lub sześć tygodni po zasiewie rozsada gotowa jest do przesadzenia. W czerwcu pola muszą być uprawne do jej przyjęcia. Przekopane lub przeorane starannie stały one długo przedtem pod wodą i zamieniły się w błota. Rozsadę pęczkami po 5—7 roślinek sadzi się w to błoto w odległościach metrowych. Cała rodzina zwykle bierze udział w tej robocie, pracując po kolana w bagnie. Należy się spieszyć, aby słońce nie zabiło roślinek, zanim można będzie znów pokryć je wodą. Pod wodą rozsada przychodzi do siebie, wzmacnia się i chyżo rośnie w górę. Kwitnie w końcu sierpnia lub początkach września a dojrzewa w październiku (dziewiątego koreiskiego księżyca). Dojrzała niwa ryżowa w rok urodzajny ma piękny, miedziano-złoty kolor. Ciężkie kiście zbożowe zwieszają się i pokładają na siebie. W lato dżdżyste słoma ryżowa czernieje i ryż często wylęga. Ziarno traci wtedy wiele na swojej wartości, smaku i wadze; przejrzysta jego perłowość mętnieje. Zadługi pobyt w pokosach również obniża wartość i wydajność ziarna. Zaznaczyć muszę, że zbioru dopełniają Korejczycy o wiele gorzej, niż Japończycy, rzucają garście na ścierniskach wprost na grunt wilgotny, nawet w wodę, kozłów używanych w Japonii do suszenia snopów, nie widziałem nigdzie w Korei. Ryż powiązany albo składają w małe, okrągłe kopy, nakryte jednym snopem lub zwożą odrazu do wiosek, gdzie go wkrótce młócą.

Dlatego to pewnie, bez względu na doskonałe warunki przyrodzone i wyborną odmianę rośliny, ryż koreiski dotychczas nie dorównywa przednim gatunkom ryżu japońskiego.

Korejczycy twierdzą, że uprawa ryżu przyszła do nich z Chin, z prowincyi Haram, w czasach zamierzchłej przeszłości, coś na 2,800 lat przed Narodzeniem Chrystusa. Prawdopodobnie jednak przyniesiony on został do Korei w 1122 roku przed Nar. Chr. przez niejakiego Ki-cża, naczelnika wychodźców chińskich, którzy w owym czasie tłumnie osiedlili się w północnej części półwyspu. Zdaje się, że w owej też epoce przybyły do Korei jęczmień, pszenica oraz inne zboża, gdyż przedtem znano tam jedynie odmiany południowego prosa (czumidze, po korej. — ezo *).

Obecnie wszystkie te zboża, choć udają się wybornie, grają podrzędną wobec ryżu rolę. Jęczmien (po korejsku — pori, albo imo) ceniony jest może więcej od innych, jako pożądany przedmiot w handlu wywozowym oraz ziarno najpierw dojrzewające po wiosennym przednówku. Pszenicę (po korejsku — cchamiri, albo — cinmajegi) sieją jarą i ozimą; tę ostatnią zwykle na polach ryżowych natychmiast po jego zbiorze. Wtedy dojrzewa ona w maju na rok przyszły i uwalnia pole dla następnego ryżu, dając możność dwóch zbiorów w roku z jednego miejsca. Gdym przejeżdżał w październiku, już wzeszła i ruń jej miejscami tworzyła bujne, wysokie grzywy. Ozimego jęczmienia nie widziałem, ale słyszałem, że go Korejczycy sieją. Na północy uprawiają oni owies (po korej. — kuimiri, albo — imajegi) głównie na sprzedaż do Władywostoku, dokąd spławiają rok rocznie do 12,000 pudów; z owsianej słomy wyrabiają słyny papier koreiski. Proso ma po ryżu zapewne największe znaczenie w gospodarstwie koreiskiem. Jest go kilka gatunków; proso delikatniejsze, żółte (kicangi), drobne i nizko rosnące, które jedzą i ludzie; pośledniejsze (cchapssari, finadi), czerwone, drobne, wysokie, nareszcie proso ciemne, prawie granatowe (po chiń. gaolian, po korej.—su-su), o ziarnach wielkich

*) A. Hamilton: „Korea," str. 123.

---

cem, będziesz sobie mógł jeździć, ile ci się tylko będzie podobało; ty sobie będziesz w kajucie wygodnie siedział, a marynarze koło ciebie będą harowali. Wzdychałem ja do tego nieraz, kiedy źle było!.. Nie, niema się co tak palić do morza. Zresztą, teraz tylko parowce kursują. Kapitanami na nich mogą być ci tylko, którzy zdali egzamina, a ty się przecież nie chciałeś uczyć... Być zaś zaświchtanym maszynistą, co to śmierdzi zatęchłym olejem, to byłoby o czem gadać!

Ale wszystkie perswazye starego nic skutkowały. Andrzej siedział pod piecem i, obracając w ręku czapkę, myślał swoje.

Skoro zaś tylko mógł się uwolnić od zajęcia, puszczał się daleko, aż po ujście rzeki, i łowił ryby lub płynął łodzią do szwedzkich rybaków i w ich towarzystwie spędzał długie godziny. Jeżeli była pogoda pewna, wypływał na głębię, otaczającą wyspę mew i czekał, co mu przypadek przyniesie.

Tu, na pełnem morzu, czuł się szczęśliwym. Tu widział tylko połyskującą wodę i jasne gwiazdy... a czasem opar nocny, gdy biały, delikatny jak wełna, opuszczał się na fale. Niekiedy przesiedział tak do rana i nie czuł się bynajmniej zmęczonym, chociaż potem musiał cały dzień stać w sklepie.

*

Nadeszła druga jesień.

Słońce zachodziło czerwienią, a gdy już zapadło i nastąpił wieczór, szło jakieś zimno od północy.

I liście poczęły opadać.

Gdy się to stało raz pierwszy, uderzyły w lament ptaki leśne i pochowały się, nastroszywszy skrzydła. Siedząc rzędem na czarnych gałązkach, wyglądały jak grube, watą wypchane gniazda.

Nie chciały wierzyć, że to koniec lata. Nieraz jeszcze za dnia słońce przypiekło mocno, a i w powietrzu było ciepło. To też często rozlegały się jeszcze po lesie trele niby cienkie, ostre dźwięki szklanych dzwoneczków. To młode, wesołe śpiewaki urządzały ten koncert, lekkomyślna gromadka, która pamiętała świat tylko z lata, a musiała w jakiś sposób objawić swoją radość z pięknego, czerwonego podbródka, świeżo otrzymanego.

Ale stare spostrzegły, że koniec się zbliża. One widziały już lato, ale też i jesień już znały. Pewnego zimnego, ciemnego wieczora zauważył najstarszy: Zdaje się, że zimno może zaszkodzić dzieciom. Jutro wyruszamy! I rzeczywiście następnego ranka ciągnęły długie sznury ptaków ku południowi.

A te, które pozostać musiały, kurczyły się z zimna i chwytały każdy, bodaj najnędzniejszy promyk słońca z wdzięcznością, a kiedy zaszło, tuliły się po kątach, gdzie przez uchylone drzwi kuchni dochodziło trochę ciepła.

— Ach, żeby to choć zerknąć do pokoju, gdzie ogień trzeszczy w piecu, ciepło by nam było na sam widok! — wzdychały.

A ci, którzy w pokojach siedzieli, także utyskiwali, bo chociaż zima jeszcze się nie zaczęła, marzli wszyscy, a reumatyczni staruszkowie mruczeli, jak pszczoły w krzaku różanym. Strzykało i łamało ich w kościach — najpewniejsza to zapowiedź jesieni.

Wreszcie zrozumieli wszyscy, że przyszła nieodwołalnie, gdy zerwała się straszna burza. Rozpoczęła się rano o dziewiątej, a około południa było tak ciemno, że stare kobiety przypuszczały, iż nadszedł dzień Sądu. Jęły więc śpiewać psalmy dla odwrócenia złego, ale to nic nie pomogło— burza wzmagała się. Na morzu szły bałwa-

jak groch i krzaczastej, grubej jak trzcina łodydze. Ta ostatnia odmiana służy za paszę dla bydła, a z jej badyli budują płoty i domy oraz używają ich na opał; z liści plotą maty.

Prócz tego sadzą Korejczycy kukurydzę (ok-siuk-ki, albo ot-susu) i znają podobno żyto, choć nie widziałem go w wioskach i nie znalazłem wcale w Seulu na rynku zbożowym.

Z jarzyn najbardziej rozpowszechnione są rozmaite gatunki grochów (uon-du) i bobu (khoni). Hamilton podaje aż 13 odmian okrągłego bobu, dwa rodzaje szablastego i pięć odmian bobów mieszanych. Bodaj czy nie ma ich więcej; w składach seulskich widziałem ich bardzo dużo najrozmaitszego kształtu, koloru i przeznaczenia. Były tam grochy i boby używane wyłącznie na paszę dla koni, oraz inne, z których wyrabia się olej, soja, mąka na ciastka; był pomarszczony dziwacznie „bób - dziadek“ i „bób-orzech“ z prowincyj wschodnich.

Nieposlednią również rolę odgrywa na półwyspie uprawa włoszczyzny: rzodkwi, rzepy, marchwi, cebuli, czosnku, oraz pieprzu tureckiego, bakłażanów, pomidorów, tykw, bań, ogórków, kawonów itd. Kartofle mało są znane i uprawa ich długo była przez rząd wzbroniona, gdyż, przywiezione przez misyonarzy, uważane były za roślinę chrześciańską, przewrotową. Wcale też niema w Korei kapusty. Natomiast sadzą tutaj moc roslej, podłużnej, chińskiej sałaty „pe-ccu“ (po korejsku), którą kwaszą i spożywają, jak kapustę.

Śmiem twierdzić, że z ogrodowizn Korejczycy zużywają najwięcej tej sałaty oraz białej, gorzkiej rzodkwi. W Seulu, na targu, niedaleko Dżon-no, widziałem góry obu i żaden obiad, który jadłem, nie obszedł się bez ryżu i kwaszonej rzodkwi, oraz nie spotkałem ani jednej wioski, koło której nie zieleniałaby grzęda sałaty.

Na czele przemysłowych roślin korejskich należy umieścić bawełnę (syo-mi, menca, sokhaju). W bawełnę wyłącznie ubiera się cała ludność półwyspu, gdyż jedwab znacznie mniej jest tam używany, niż w Japonii i Chinach, a wełna wcale nie jest znaną. Według Reclus'a *) uprawa bawełny wprowadzona została do Korei zaledwie od 80 lat; Griffis **) i Hasse-Wartegg *) twierdzą, że hodowana była już w XVI stuleciu, w czasie drugiego najścia Japończyków. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że przedostała się tam z Chin, co potwierdza jej gatunek i sposób uprawy. Choć krzew bawełniany jest rośliną wieloletnią, lecz zarówno w Korei, jak w Chinach traktowany bywa jako jednoletni. Pola, skopane i starannie uprawne ludzkim nawozem oraz popiołem z bawełnianych łodyg, zasiewane zostają w końcu kwietnia, poczem gospodarz nie zagląda do nich aż do chwili zbioru, chyba że między bawełną zasiał rzepę, rzodkiew albo nasiona kunżutu. Bawełny nie pelą i nawet nie zraszają w czasie suszy. Zasiewają ją zwykle na nieużytkach, na żwirkach lub stromych pochyłościach, niezdatnych do uprawy zboża. Niewymagająca roślinka już dziesiątego dnia ukazuje się nad powierzchnią i szybko dorasta wysokości 2 i więcej stóp. Kwitnie w sierpniu. Każdy krzaczek daje około 40 torebek nasiennych, pełnych żółtawego puchu. Watę zbierają w październiku, listopadzie i później, zależnie od pogody. Widziałem w połowie tego miesiąca pola jeszcze nieobrane. Następnie krzewy zostają wyrwane i idą na opał, co też ma ważne znaczenie w bezleśnej Korei. Około pół miliona morgów zajmuje rocznie zasiew bawełny, wszakże ilość ta z roku na rok zmniejsza się, gdyż dowóz z Japonii taniej przędzy bawełnianej i waty zabija produkcyę miejscową. Korea obecnie ma spożywać zaledwie 1,300,000 funtów własnej bawełny surowej.

Lnu wcale nie znają w Korei. W północnej części półwyspu sieją konopie (maca, sami), w południowej pokrzywę japońską (po korejsku — sio), z których wyrabiają grubą i rzadką tkaninę, noszoną w czasie upałów i w... żałobie. Pokrzywy nie sieją na polach, lecz w ogrodach wśród krzewów morwowych lub innych.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

*) „Nouvelle Géographie Universelle,“ VII, p. 674.
**) „Corea, the Hermit Nation,“ p. 152.
*) „Korea.“ p. 210.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Nieco o pracy społecznej.

Wśród różnych anomalii życia spółczesnego, nienajmniejszą i nienajmniejsze posiadającą znaczenie jest ta, którą spostrzegamy w stosunku poczynań społecznych do rezultatów, jakie one przynoszą. Najenergiczniejsze i najintensywniejsze są tak drobne i tak mało widoczne w swych skutkach, że zapał się oziębia, praca staje się maszynową, jeżeli nie zanika zupełnie. Często słyszymy o różnych oburzających faktach z wszelkich dziedzin życia, znacznie rzadziej dowiadujemy się o prywatnej inicyatywie w celu zaradzenia złemu, wypełnienia jakiego krzyczącego braku. W tem wszystkiem bije w oczy, że pewne kwestye stale, co pewien czas wypływają na łamy dziennikarskie, co świadczy, że nie przestały istnieć, że trapią i, prawdopodobnie, długo jeszcze ludzkość trapić będą. Wprawdzie pewne zjawiska psychiki szarej masy, pewne zarysy pożądań pozwalają mieć nadzieję, że przyszłość przyniesie gruntowną zmianę na każdem polu przejawu ducha ludzkiego. Lecz są prócz tego drobne i palące kwestye, które nie mogą czekać na rozwiązanie w przyszłości, a istnieniem swem tamują nadejście tej przyszłości; one stanowią właściwą „teraźniejszość“ z ich zamarcia rodzi się — przyszłość.

Gorzko wykrzywiona maska prawdy życiowej szydzi z wszelkich zagadnień etycznych i często obnaża nowe rany tam, gdzie już sądzono, że cierpienie zostało uleczone. Jakie są przyczyny niepowodzenia tych, którzy z zapałem brali się do pracy? Przedewszystkiem należy rozgraniczyć filantropię i pracę społeczną. Pomieszanie ich to jedna z przyczyn zwichnięcia w zarodku wielu głębiej pomyślanych poczynań.

Źródłem filantropii są zasady chrześciaństwa, nakazujące dobre uczynki, przewodnią jej myślą założenie mniej więcej następujące: ten, co ma i może dać, niech daje dobrowolnie tym, którzy mają za mało lub nic nie mają, dlatego, że jest dobry, że chce czynić dobrze, chce pomódz bezinteresownie, podzielić się swoją własnością. Na tym gruncie „niewdzięczność“ obdarowywanych jest stałym przedmiotem utyskiwań komitetów dobroczynnych.

Czyż w istocie rzeczy filantropia a praca społeczna to jedno? Pomijam dziwaczność zestawienia bezinteresowności z owym „dobrym uczynkiem“ który ma być środkiem odkupującym winy, zapewniającym żywot wieczny lub popularność. Chcę zwrócić uwagę na inną stronę tego zagadnienia.

Jeżeli mamy kwalifikować pewne zjawisko psychiczne, to należy przedewszystkiem zwrócić się do źródeł jego tj. tak zwanych popularnie pobudek. Co się tyczy filantropii, czynić „dobrze“ — to wielka przyjemność. Pojęcie bezinteresowności staje się tu nie-

---

ny jeden za drugim, a na nich unosił się wysoki, pienisty grzbiet biały. Tu i owdzie ukazywała się samotna jakaś łódź, pracująca z nadmiernym wysiłkiem i znów ją fale zakrywały.

* *

A w ciemną noc — trzecią od zerwania się burzy od strony morza dał się słyszeć strzał — głuchy, stłumiony, jak gdyby z trudem drogę sobie torował.

Rozbudzono się z twardego snu. Kto był sam w pokoju, biegł do okna i wyglądał. Gdzie było osób więcej, pytali jedni drugich, czy to na pożar dzwonią?

Na ulicach, pustych przedtem, zjawili się ludzie. Niektórzy napół ubrani stali przy oknach, wołając i rozpytując się. Nikt jednak nie umiał objaśnić — wtem powietrze przeszyło złowrogie słowo, o którem nikt nic wiedział, z czyich ust wyszło: Statek rozbił się o skałę, stamtąd pochodzi strzał!

Tłumnie podążono na plac. Niektórzy, ostrożniejsi trzymali się z dala, inni, śmielsi poszli aż na samo wybrzeże, gdzie słona woda morska obryzgiwała ich drobnym pyłkiem deszczowym. Nikt nie wiedział nic pewnego.

Niektórzy poszeptywali: Ano, śmierć im już naznaczona!

Jakiś staruszek stał nad brzegiem i płakał głośno, że słychać go było zdaleka. Ktoś drugi pocieszał go, mówiąc, że to nic groźnego, a zakończył słowami: Często mądry ślad Opatrzności wyryty jest na dnie morza.

A gdy tamci stali w milczeniu, zapatrzeni w dal, na drugim końcu wybrzeża odbijała jakaś łódź. Trzech dzielnych rybaków puściło się na pomoc ginącym...

Burza wyła wściekle, ale łódź pruła fale, dumna i pewna siebie, niby ptak potężny... Doświadczony rotman Sigvart Olsen siedział z tyłu i sterował; dwóch młodszych na przedzie wykonywało jego rozkazy... Za chwilę łódź zniknęła im z oczu. Stali jednak i patrzyli, chociaż nie już dojrzeć nie mogli... słowa głośnej modlitwy wymawiali ci, którzy tylko kląć zwykli. Starzec nie ruszył się z miejsca i zawodził dalej. Wtem nadbiegł ktoś z miasta. Był to ojciec Andrzeja.

— Czy to prawda? — wołał zdaleka — Andrzej tam z Olsenem? Boże, zlituj się! prawdaż to?

Nikt nie odpowiedział, a stary biegając w koło, wciąż wołał:

— Czy to prawda?

Powiedzieli mu, co sami wiedzieli, że z Olsenem było dwóch, ale czy jeden z nich był Andrzej, nikt nie wiedział na pewno.

— Tak, więc to on był! Ach Boże ocal go! — I stanął nagle pochylony z rękami załamanemi. Nie zauważył nawet, że wicher zerwał mu kapelusz z głowy.

Po chwili odszedł w milczeniu tam, gdzie zwykła była stawać łódź Olsena. Tu przystanął, mrucząc coś półgłosem — słów nikt nie mógł zrozumieć.

Stał bez ruchu i patrzył w czarne, wzburzone morze, jak gdyby czekał powrotu łodzi.

Przeł. z nor. *J. Klemensiewiczowa.*

potrzebne, a oznacza tylko interesowność w dalszej nieco odległości.

Czy korzystający z „filantropii“ obowiązani są do wdzięczności. Stanowczo nie, i to nie z własnego poczucia wewnętrznego, lecz z międzyosobowej natury wszystkich faktów społecznych.

Nędza jest faktem społecznym i to jednym z najwidoczniejszych. Walka z nią może być skuteczna tylko na polu pracy społecznej. Zaradcze środki filantropijne przynoszą chwilową ulgę tej lub innej jednostce, lecz w kierunku dążeń, mających na celu usunięcie biedy, nie mają żadnego znaczenia. Często nawet gmatwają pogląd ogółu i osłabiają jego inicyatywę. Szpitale, przytułki i inne tak zwane u nas dobroczynne zakłady nie mogą być uważane za łaskę uczynioną ogółowi przez pewne jednostki, lecz za wytwór obowiązku, to czego ogół miał prawo oczekiwać, jako rzeczy niezbędnej dla siebie. Nie są darowizną, uprzejmością, lecz koniecznością.

Rzućmy jednak okiem na to, co się u nas pisze. Artykuły naszych gazet są prawie wyłącznym dokumentem, stwierdzającym o czem ludzie myślą. Czytamy o wyzysku pracy, o prostytucyi, o ciemnocie, braku najniezbędniejszych warunków zdrowotnych itd. itd. Wszędzie znajdujemy dowody, potwierdzające bezradność poczynań filantropii, wynikającej stąd konieczności oparcia się na pracy społecznej, pojętej szeroko i odczutej głęboko. Albowiem wdziedzinie dotychczasowych prób zaradzenia złemu, naskutek niezrozumienia głównej treści zagadnienia, nieubłagane konsekwencye szydzą z najszlachetniejszych usiłowań.

Niepodobna w jednym krótkim artykule oświetlić wszechstronnie tej sprawy. Chciałbym tylko uwypuklić parę jej rysów, naszkicować tło zagadnienia. Praca społeczna — ileż głębi i nieznanej tajemnicy, ile trudu i uroku mieści w sobie to pojęcie! jak wielkich wymaga wysiłków, jak wielkich dusz, a jak mali jesteśmy wobec niego.

Jestem głęboko przekonany, że tylko na tem polu można skutecznie dążyć do usunięcia ujemnych stron życia. Praca społeczna — to nie wypływ altruistycznej potrzeby „czynienia dobrze,“ a niezbędność dołożenia trudu swego ducha do powszechnego ruchu, który stanowi życie. Nie jest ona więzami, nałożonemi z zewnątrz przez paragrafy kodeksu, wolę ogółu, utarte wartości etyczne lub despotyzm jednostek, mających prawo w swem ręku, lecz prostą konsekwencyą wewnętrznego całokształtu człowieka, wypływającą z jego najgłębszej, najtajniejszej, najbardziej własnej i indywidualnej treści. Na pierwszy rzut oka taki stan psychiczny wydaje się dziś tylko wspomnieniem z czasów greckich lub Odrodzenia. Dusza współczesnego człowieka to ciągła walka, ciągłe ścieranie się najróżnorodniejszych prądów, uczuć i myśli; lecz i dzisiaj już, w tym oceanie przeciwieństw zauważyć można pewien ogólny ton, tło ogólne. U większości (mówię tu o tych, którzy stoją na poziomie kultury naszych czasów) ten ton — to straszne wyczerpanie, osłabienie, t. zw. nerwowość, ciągły lęk przed żywszem poruszeniem, pragnienie spokoju i bezustanne wrzenie— wciąż rosnąca subtelność i wrażliwość, wciąż zwiększające się obrzydzenie do współczesności i gorąca, namiętna tęsknota ku przyszłości. Rośnie ona i potężnieje, u wielu ogarnęła całą duszę, stała się podstawą pracy myśli i uczucia. Więc i dziś taka praca społeczna jest możliwą i nie pozostaje w sferze abstrakcyi.

Jest to jednak trud niełada, który u nas musi walczyć z różnemi przeszkodami. Do najbardziej tamujących i opóźniających jego rozwój należy brak szerszych horyzontów. Czyż gdziekolwiek indziej można spotkać takie lubowanie się w ustalonych „świętościach,“ w utartych pojęciach, których nikt nie waży się krytykować? Przywiązanie do pewnych anachronizmów dziejowych zasłania nam oczy, nie umiemy patrzeć w przyszłość, bo zaraz czarne ptaki, zrodzone z różnych narowów myśli lub uczucia, poczynają krążyć przed naszym wzrokiem.

Wskutek ciasnoty widnokręgów brak nam dalej sięgających poczynań. Wszystko, co się u nas robi w sferze pracy społecznej, jest obliczone na bardzo krótką metę. Każde zjawisko traktujemy jako samo w sobie, zapominając, że jest ono tylko niezbędną, konieczną częścią składową całości. Niesłychana apatya ogółu tamuje dalej i szerzej obmyślaną akcyę społeczną. Weźmy np. ostatnią powódź. W pierwszej chwili—wielkie zainteresowanie się, składki, odczyty, jednodniówki -jednem słowem filantropia; lecz czy proponowane przez niektórych publicystów zastanowienie się nad przyczyną klęski i środkami do usunięcia jej znalazło posłuch?— Co zrobiono w tej kwestyi? Ogół nasz bardzo mało myśli i w myśleniu swem idzie bezwiednie za najlżejszą strawą. Indywidualizmu w tej sferze niesłychanie mało, mało też zainteresowania się zagadnieniami cokolwiek abstrakcyjnemi — a z tem wiąże się całokształt życia kulturalnego, więc i kwestya zapobiegliwości społecznej. Uszanowanie dla norm już istniejących, lęk przed wszelką nowością — to tylko dalsza konsekwencya opisanego stanu.

Aby coś zdziałać na polu inicyatywy społecznej, trzeba ją przedewszystkiem mieć i to w całej rozciągłości tego pojęcia. Tylko wtedy możemy się spodziewać, że usiłowania zwalczenia ujemnych zjawisk kultury współczesnej nie pozostaną bez rezultatu, jeżeli zawsze i wszędzie będziemy mieć na widoku całość budowli, jeżeli będziemy pamiętać, że każdy odrębny fakt, czy to np. nędza, czy prostytucya, to tylko ściśle z całością związana część, której inaczej usunąć nie można, jak przez zmianę podstawy, na której się całość opiera. Należy uświadomić sobie jasno, że obecne formy życia przestały już odpowiadać rozwojowi poziomu pożądań kulturalnych, że ludzkość powoli, lecz stale, dąży do pewnego przełomu, którego zwiastunami są nowe myśli, nowe światopoglądy, pojawiające się w umysłach jednostek i przechodzące do świadomości ogółu. W tym kierunku dla czynności społecznej otwierają się szerokie widnokręgi — dla artysty twórcy, objawiającego nowe piękno, dla uczonego, rozszerzającego horyzont myśli, dla działacza na polu ekonomicznem lub społecznem.

A każda praca społeczna powinna przedewszystkiem zerwać z filantropią i sięgnąć do ogólnej treści—do życia; na polu faktów, które zwykle nazywamy „społecznymi,“ musi ona wyjść z założenia solidarności wzajemnej i samoinicyatywy ogółu, co tylko wtedy jest możebnem, jeżeli ogólny poziom kulturalny stoi wysoko. Tylko wtedy powstanie silna i pewna podstawa, na której wybudowany będzie gmach przyszłości.

br.

LISTY GALICYJSKIE.

Posłowie chłopscy. — Sprawa Wilka. — Korupcya w „Kole Polskiem.“

Niezbyt to dawne czasy, kiedy rzucone po raz pierwszy przez p. Wysłoucha hasło „chłopi, wybierajcie chłopów!“ znalazło entuzyastyczny odgłos w sercach wszystkich szczerych demokratów. Wejście pierwszych chłopów ludowców do sejmu lwowskiego przyjęto powszechną radością, a pierwsze wystąpienie tych posłów chłopskich przejmowało strachem szlachtę. Ogólnie przypuszczano, że przez posłów chłopskich uda się złamać oligarchię szlachecką i zreformować sejm w duchu potrzeb ogółu. Niedość na tem, sądzono, że i w parlamencie posłowie chłopscy wytworzą przeciwwagę „Kołu Polskiemu“ i rozpoczną nową erę polityki narodowej, a sceptyków pod tym względem nie wahano się piętnować mianem niepoprawnych doktrynerów...

Tymczasem minęło zaledwie lat kilka od pierwszych, walnych zwycięztw stronnictwa ludowego przy wyborach sejmowych i wygórowane nadzieje, co do roli posłów chłopskich w reprezentacyi kraju, poczęły się ulatniać. Pomiędzy posłami chłopskimi znalazł się zaledwie jeden człowiek istotnie wybitny — Jakób Bojko — reszta niczem się nie odznaczyła. Była to gromadka szara, skromna, broniąca swych interesów chłopskich, występująca od czasu do czasu przeciwko oligarchom, ale „nowej ery“ nie zainaugurowała. I to nietylko z powowodu swej słabości liczebnej. Garstka taka, gdyby była ożywiona rzeczywiście jakąś nową ideą, gdyby zdawała sobie sprawę z zadań reprezentacyi ludowej, mogłaby niewątpliwie odegrać rolę wybitniejszą i może zmusić klikę panującą do liczenia się z interesami ludu. Ale warunków tych reprezentacya chłopska nie posiadała; pomału szlachta przestała się jej obawiać, przyzwyczaiła się do jej widoku w sejmie i nie liczyła się z nią już niemal zupełnie. Wysłuchiwała skarg i żalów posłów chłopskich obojętnie i — przechodziła nad nimi do porządku dziennego, albo rzucała od czasu do czasu jakiś ochłap — nic lub bardzo mało znaczący. Wspaniałomyślnie uznała ich nawet za „pożytecznych pracowników,“ kiedy zobaczyła, że ci posłowie chłopscy prawie nie wykraczają po za obręb żądań, dotyczących „soli bydlęcej,“ egzaminowanych akuszerek albo zmiany ustawy łowieckiej i że, pomimo swego stanowiska opozycyjnego, konsekwentnie głosują za budżetem. Nawet najbardziej zagorzali zwolennicy wybierania chłopów na posłów przyszli w końcu do przekonania, że łudzono się, wyczekując od nich obalenia lub bodaj zachwiania panowania oligarchii szlacheckiej. Obecność posłów chłopskich, dobrze znających życie wiejskie i jego potrzeby, jest w sejmie bardzo potrzebna, ale nawet większa liczba tych posłów nie potrafi reprezentować interesów ludu w przeciwieństwie do interesów kliki szlacheckiej, nie potrafi podjąć ostrej, bezwzględnej walki z tą ostatnią.

Jeszcze większem było rozczarowanie na punkcie roli posłów chłopskich w parlamencie. Tu najlepsi z nich, mianowicie ludowcy z Bojką na czele, poprostu stali się zbytecznymi. Nie znając dobrze języka niemieckiego, nie oryentując się w zawikłanym splocie kwestyj politycznych ogólno-państwowej natury, nie mogą dać sobie rady z intrygami, za pomocą których chciano ich omotać z różnych stron, a cała ich czynność sprowadza się do wnoszenia interpelacyi w sprawie nadużyć władz galicyjskich. Znaczenie ich, jako grupy polskiej, stojącej po za „Kołem Polskiem,“ polega jedynie na uwydatnieniu faktu, że jednak Koło nie jest reprezentacyą *całego* społeczeństwa polskiego w Galicyi. Ale i do utrzymania się w tej roli brak posłom chłopskim odwagi cywilnej i wiele trudu kosztowało zapobieżenie wstąpieniu ich do Koła.

Tyle da się powiedzieć o chłopach-ludowcach. Inaczej rzecz się ma z innym odłamem obozu ludowego — ze stojałowczykami. Tych „posłowanie“ zdemoralizowało do szczętu. Stali się oni pod względem politycznym pionkami w ręku swego mistrza, starającymi się jednocześnie upiec na rożnie parlamentarnym własną pieczeń. Słynnym jest opój Szajer, ozdoba gruby Stoja-

łowskiego, robiący interesy na dostawach, odprzedawanych koncesyach i wszelakich szacherkach. Nie mniej słynnym jest taki Bomba, zarabiający łapówkami wyborczemi. Obecnie wsławił się poseł chłopski, stojałowczyk Wilk, reprezentujący okrąg Jarosław - Łańcut - Cieszanów - Jaworów-Gródek V kuryi, członek rady naczelnej stronnictwa chrześciańsko-ludowego, członek katolickiego centrum w Kole.

Poseł Wilk, mniej widać zdolny do interesów na szerszą skalę, niż jego koledzy w rodzaju Szajera, kradł w parlamencie zwyczajny papier listowy, koperty, ołówki, pióra itd. Kradzież przypadkowo odkrył woźny parlamentarny, którego poseł prosił o wysłanie paki ze skradzionymi przedmiotami do Sieniawy, rodzinnego miejsca posła. Woźny uznał 15 kilową paczkę za zbyt ciężką i podzielił ją na trzy części, przyczem poznał zawartość. Doniósł więc o kradzieży dyrektorowi kancelaryi parlamentarnej, a ten prezydentowi parlamentu, od którego dowiedział się o wszystkiem prezes Koła Jaworski. Skandal stał się głośnym i poseł Wilk wyleciał z Koła Polskiego.

„Posłowanie," a zwłaszcza atmosfera, jaka panuje w Kole Polskiem, musiały zdemoralizować do szpiku kości tak samo Wilka, jak Bombę i Szajera, zepsutych już przez samo należenie do „stronnictwa" Stojałowskiego. Drzemiące złe instynkty zostały rozbudzone przykładami, dawanemi przez „kolegów" kołowych, i posłowie chłopscy ulegli depprawacyi ostatecznej.

Nie zdążył jeszcze przebrzmieć skandal z Wilkiem, kiedy w Kole zakotłowało się z powodu nowej sprawy kryminalnej. Na ten raz bohaterem był już nie zdemoralizowany poseł chłopski, ale szlachcic całą gębą — i nie o marne ołówki chodziło, tylko o tysiące i dziesiątki tysięcy gotówki.

Sprawa posła Colonny-Walewskiego tak jest charakterystyczna, tak dobrze maluje atmosferę korupcyi, panującą w Kole Polskiem, że warto się nad nią nieco uważnie zastanowić:

Poseł Walewski wniósł niezbyt dawno skargę cywilną przeciwko baronowi Popperowi. Otóż adwokaci tego ostatniego nazwali posła Walewskiego „rycerzem przemysłu, nadużywającym mandatu poselskiego do celów prywatnych" i „dopuszczającym się oszustwa." Poseł Walewski wytoczył z powodu tych słów proces o obrazę honoru — proces, który odsłonił właściwe oblicze zacnego „reprezentanta narodu." Pokazało się, że mandat poselski przynosił p. Walewskiemu wcale niezłe dochody.

Oto w spółce z hr. Stanisławem Wiśniewskim i handlarzem drzewa Michałem Fischerem p. Walewski zawarł ze skarbem państwa układ, na mocy którego to konsorcyum nabyło na lat 10 prawo wyrębu wielkiej ilości drzewa w lasach państwowych w Galicyi. Jednocześnie do wykonania tego układu wcale nie przyszło, więc za zgodą stron obu uznano go za niebyły, z zastrzeżeniem dla konsorcyum, że zostanie zawarty nowy układ. Wtedy poseł Walewski zaczął hr. Wiśniewskiemu obiecywać, że się postara, aby Fischer został usunięty, a Fischerowi obiecał usunąć hr. Wiśniewskiego, oprócz tego zaś pertraktował z posłem M. Wassilką, członkiem rady nadzorczej w „Towarzystwie przemysłu drzewnego Ludwik Popper" o odprzedanie Towarzystwu swego udziału w konsorcyum. Udział ten notabene p. Walewski już wcześniej odstąpił prawnie na rzecz Wiśniewskiego, co wobec Wassilki zataił i ten ostatni wszedł w rokowania z posłem Walewskim. Później się okazało, że p. Walewski wcale już do tego konsorcyum nie należy i nie może nikomu odstąpić żadnego udziału. Towarzystwo, chcąc uwolnić się od p. Walewskiego, wypłaciło mu 60,000 koron, byle raz odczepił się i otrzymało od niego dokument, stwierdzający pokrycie wszystkich jego pretensyj. Sumy otrzymane za te i tym podobne manipulacye p. Walewski przepisywał na żonę, aby uniemożliwić wierzycielom zajęcie sądowe.

60,000 koron panu posłowi było jednak zamało. Zażądał on od Towarzystwa przemysłu drzewnego zapłacenia mu 163,500 koron, a mianowicie za odstąpienie praw kontraktu 140,000 koron, za pośredniczenie w pewnym interesie drzewnym 6,000 k., wreszcie 17,500 kor., zaoszczędzoną dzięki jemu należytość prawną. P. Walewski dowodził, że od pierwszego układu ze skarbem będzie wymierzona należytość prawna w kwocie 35,000 koron, ale przyrzekał, że przez swoje wpływy w prokuratoryi państwa we Lwowie postara się o skreślenie tego wymiaru, za co żądał połowy należytości tj. 17,500 k. Prócz tego domagał się dożywotniej posady członka rady zawiadowczej z roczną płacą 5,000 k.

Trybunał handlowy odrzucił wszystkie pretensye posła Walewskiego, nałożył nań koszta procesu i wymierzył karę 1,000 k. za lekkomyślną skargę. Druzgocącymi dla p. posła były motywy wyroku, stwierdzające niemożliwość całej pretensyi i okoliczność, że p. Walewski ciągnął korzyści prywatne ze swego stanowiska poselskiego, co również jest niemoralnem.

Skandal publiczny, wywołany zuchwalstwem p. Walewskiego, spowodował wielki niepokój w tem gnieździe korupcyi, jakiem jest „Koło Polskie." I inni posłowie robią takież same interesy (tylko postępują ostrożniej i sprytniej), więc do napiętnowania kolegi, któremu powinęła się noga, nie są zbyt skorzy. A tu napiętnować go należy — i opinia publiczna domaga się usunięcia posła Walewskiego z Koła. Nie usunęli jednak, tylko „zasuspendowali, aż do ostatecznego wyjaśnienia sprawy przez sądy, gdyż na delikatną propozycyę złożenia mandatu p. Walewski odpowiedział stanowczo odmownie.

Opozycya galicyjska, reprezentowana w parlamencie przez posła Daszyńskiego, nie omieszkała skorzystać ze sposobności, aby zadać poważny cios Kołu Polskiemu. Poseł krakowski poruszył sprawę Walewskiego w zapytaniu do prezydenta izby, nie wymieniając nazwiska skompromitowanego „rycerza przemysłu." Nie chodzi tu o osobę, lecz o cały szereg wypadków, których nie można przyjąć bez protestu — mówił poseł Daszyński. Przed trzema laty mówiono o jednym z posłów z tej samej grupy, że zawarł podobny kontrakt z ministerstwem rolnictwa, a następnie, sam nic nie robiąc, sprzedał go za 180,000 złr. Kilku posłów tej grupy jest akcyonaryuszami różnych kolei, a zarazem członkami parlamentarnej komisyi kolejowej. Wiadomo także z dzienników, że pewien pan z tej grupy ma dostawy papieru dla całej prowincyi, otrzymane od rządu. Nie wiadomo może panom, że p. Szajer, jako poseł objął dostawę dla wojska i naturalnie zaraz odstąpił ją Żydom (trzeba wiedzieć, że poseł Szajer jest zajadłym antysemitą), że ten sam Szajer podjął się wzniesienia budynku rządowego, przyczem zarobił w gotówce 3,000 złr., gdyż odstąpił natychmiast koncesyę Żydowi. Rodzaj tych interesów jest taki, że ci panowie nie mogą być łatwo pociągnięci do odpowiedzialności. Są oni potężni, ale my chcemy wiedzieć, jakie właściwie interesy mają z rządem, albowiem inne sami sprawdzimy. Chcemy wiedzieć, jacy to spekulanci radzą w tej izbie. Staraliśmy się przez szereg lat śledzić postępowanie tych ludzi, ale niezawsze się to nam udawało. Niestety, są oni potężni i z tak wielu stron szanowani. Teraz jednak, gdy wykryto jaskrawy wypadek bezczelności, musimy nalegać, aby prezydyum przynajmniej raz stwierdziło, którzy posłowie mają dostawy dla rządu, dla wojska, czy dla ministeryum rolnictwa. Chcielibyśmy dalej mieć spis posłów, którzy są członkami rad nadzorczych i zajmują stanowiska, na których mogą być uważani wprost za przekupionych przez rząd. Także dyrektorów banków należałoby wciągnąć na tę listę. Im lista taka będzie obszerniejsza, tem czystszą stanie się atmosfera polityczna.

Prezydent zaproponował niedwuznacznie wniesienie sprawy na porządek dzienny w formie wniosku nagłego, co też chyba nie omieszka uczynić opozycya. Będziemy więc świadkami nowej kompromitacyi kliki, która przywłaszcza sobie prawo reprezentowania narodu. Im więcej zaś takich kompromitacyj, tem trudniejszą będzie rola kliki, to też każdą należy powitać w interesie kraju z prawdziwą radością.

Daleki.

Interes społeczny a sztuka.

Książka jest nietylko dla tych, co się czytać uczą, ale i dla tych, którzy się już czytać nauczyli. Elementarz dla jednych — Szekspir dla drugich. To samo w każdej dziedzinie sztuki. U nas zaś prawa i potrzeby dojrzałego umysłu w prawdziwej są poniewierce. Byle kogo nie zgorszyć, byle nie zapędzić się na szczyty, bo tam wir przepastny słabe głowy na dół pociągnąć może. Ostrożnie! dusza ludzka to miękka skorupka, tłukąca się za lada szorstkiem dotknięciem... Ostrożnie! myśl ludzka to wątły płomyk, gasnący za lada podmuchem... Ostrożnie! człowiek nosi w sobie błotko i męty, które przy lada skłóceniu na wierzch rade występują...

A przecie to kruche cacko, któremu na imię jest istota ludzka, przeznaczone jest aby twardą przeszło szkołę, bo — szkołę życia. Aliści powołani i niepowołani pedagogowie za jedyne swe zadanie poczytują, zawieszanie na mętnych oknach owej szkoły zasłon nieprzenikliwych i zabijanie grubemi wojłokami drzwi wejściowych. Zaprowadzają na swój sposób porządek w życiu. Przedewszystkiem, we wszystkiem i po nad wszystko zasada: niewolno.

Hańbiąca to ród ludzki zasada. Nakazy i brak zaufania zawsze i wszędzie świadczą o niedojrzałości objektu, do którego się stosują i jego słabości. W trosce o nieletnich stosujemy i do dorosłych te same motywy pedagogiczne i zacieśniamy widnokrąg myśli ludzkiej w imię, jakoby, pożytku społecznego.

Na szczęście, przeciwko całej masie tego rodzaju pedagogów i ich lękliwych uczniów, duszących się dobrowolnie w ciemnym i ciasnym budynku szkoły życia, wystąpiło dwóch jej pupilów: jeden z najśmielszych — uczony, który niezmordowanie zdziera zasłony i drzwi wywala, i jeden z najniesforniejszych — artysta, który się zerwał ze smyczy, przypiął wynalezione przez siebie skrzydła do swych ramion, wzleciał, zaintonował hymn do słońca i rozkochał się w nieskończoności, na którą swe tęskniące, harde oczy obrócił. Po drodze dopatrzył wszystkiego. Hymn jego jest i skargą i przerażeniem i męką serca i wstrętem duszy, dreszczem okrucieństwa i dreszczem rozkoszy, całą potęgą pragnień ducha, jego upadków i nędzy, jego marzeń, odradzania się, usiłowań i wypełnian.

Odjąć ton jeden z tej wielostronnej liry, a ucierpi na tem prawda życia, zmysłowego i duchowego. Skomplikowana, ponura, ale pełna świtu nadziei symfonia ducha ludzkiego na drodze swego rozwoju depcze jedynie konwenans i kłamstwa. Wpływ zaś dobroczynny każdego dzieła sztuki, pomimo a nawet wbrew jego tendencyi, jest niesłychany, albowiem pogłębia i rozszerza duszę osobniczą w kierunku jej własnych władz i popędów. Dusza ludzka załamuje w sobie to tylko światło, które

jest jej indywidualnie pokrewne. Zharmonizowane z jej zasadniczemi właściwościami, w działaniu swem pobudzającem jest potężne i decydujące — niezharmonizowane prawem kontrastu wywołuje jednak w duszy ferment płodny i pożyteczny. Tu oto spoczywa tajemnica upodobań i poddawania się wpływom.

Wszakże nie nauczanie zadaniem jest sztuki, lecz jedynie swobodne wypowiadanie się duszy ludzkiej w jej cudnej, aczkolwiek mozolnej wędrówce ku uświadomieniu i syntezie. Nad szkodliwym lub pożytecznym, pod względem społecznym, wpływem dzieła artysty można się zastanawiać, można się radować lub szaty na sobie ze zgrozy rozdzierać, ale nie wolno nakazywać, lub czynić z tego kryteryum dzieła sztuki. Tymczasem tak się właśnie czyni u nas, bardziej niż gdzieindziej, w ostatnich zwłaszcza czasach.

Krytyka nasza jest wybitnie subjektywistyczna, w tem znaczeniu, że po za swem dziełem stoi autor, o którego osobie sprawozdawca pamięta więcej, niż o jego utworze. Są u nas autorzy uznani za sympatycznych, czyli „naszych," lub nie. Każda grupa sprawozdawców ma swoich pisarzy ulubionych, których dzieła bezwzględnie aprobuje i innych, nielubianych, których bezwzględnie unicestwia ostrem słowem, albowiem należą do innego obozu. Biada zaś tym, którym się podobało być ponad obozami: w to się nie wierzy, takich się ma w podejrzeniu i wyłącza się ich z gromady społecznej na wszelki wypadek — milczeniem. Bezstronność i bezinteresowność moralna bynajmniej nie są naczelnemi cnotami armii krytyków, jakkolwiek pod tymi znakami walczą. Skoro tylko który ma do czynienia z autorem, dla niego osobiście nie „naszym" — bez skrupułu, bez zadania sobie trudu wniknięcia w duszę twórcy, sam narzuca mu cel, często wprost sprzeczny z intencyami autora i nad tym celem pastwi się, szczęśliwy, że może przy tej sposobności wykazać całą swoją umiejętność dysekcyi i wiwisekcyi moralno-społeczno-niby-estetycznej. A przecie zadaniem krytyka jest rozróżnienie i określenie wolne od wszelkich osobistych względów. W szeregach pielgrzymów po drodze do idealnego królestwa sztuki wędrujących, krytyk rozpoznawać powinien tych, którzy największy szmat drogi uczynili i najbliżej są celu. Powinien rozpoznawać każdego z nich trudy i wysiłki, pragnienie i uświadomienie, lot szybki lub powolne kroki, oddech szeroki i swobodny, lub astmatycznie ściśnięty i zmudny, wzrok orli lub okulary krótkowzrocznego. Jeżeli czytelnik, o ile sobie zdaje sprawę ze swych upodobań i sądów, analizując dzieło sztuki, zastanawia się głównie nad tem, w jakim jest ono stopniu pokrewieństwa do jego własnej duszy — to krytyk winien sobie i publiczności coś po nad to: uświadomienie celu, do jakiego dąży artysta, określenie powinowactwa jego dzieła do absolutu i analizę środków, jakimi się on posiłkuje.

I w każdem dziele artysty winien wyczuwać słabszy lub silniejszy puls nieskończoności.

Jest to jedyna miara, jedyny sprawdzian idei piękna, która jest jedną z najbardziej nieokreślonych, nieuchwytnych, niesformułowanych idei ludzkości. Coś, co nas wstrząsa — bólem lub radością; coś, co nas rozpłomienia — nienawiścią lub miłością; co nas od ziemi odrywa — wstrętem lub zachwytem; podnosi — miłosierdziem lub tęsknotą; siłą przeczucia zgłębia tajniki wszechbytu — oto piękno.

Umysł ludzki, nawykły określać wogóle ideę wartości miarą zbyt poziomą, niech przejrzy i realizując duchową wartość sztuki, niech się strzeże szczere złoto rozmieniać na liczmany.

Aleksandra Suszczyńska.

KONGRES MIĘDZYNARODOWY

W sprawie hygieny szkolnej.

(Dokończenie).

Nauczyciel Berninger z Wiessbadenu omawiał kwestyę organizacyi wieczornych zebrań dla rodziców. Punktem kulminacyjnym takiego zebrania byłby odczyt z dziedziny pedagogiki, hygieny itp., po za tem wymiana zdań między rodzicami a wychowawcami w szkole. Pożądanym byłby prócz nauczycieli udział w wieczorach duchownych, członków rady szkolnej, lekarzy szkolnych, wogóle ludzi, mających styczność z wychowaniem młodzieży.

Doktór Johanessen, profesor w Chrystyanii przedstawił stan szkolnictwa w Norwegii. Mówca opowiadał o trudnościach, jakie trzeba było przezwyciężyć, zanim doprowadzono szkoły do obecnego stanu, który można śmiało nazwać imponującym. Zwłaszcza trudnem było zorganizowanie szkół wiejskich wskutek ogromnych odległości między pojedyńczemi wioskami oraz nieznacznej gęstości zaludnienia. Teraz jeszcze więcej niż 10% dzieci musi chodzić do szkół oddalonych o 4 kilometry od miejsca ich mieszkania. Do niedawnych czasów, bo do 1870 roku, nauczyciel wędrował ze wsi do wsi, przyczem kurs roczny trwał nie mniej niż trzy miesiące. Szkołą była izba chłopska, gdzie nauczyciel mieszkał wraz z całą rodziną, prosiętami i z krową. Za ławki i stoły służyła podłoga. Niemałą trudnością dla tego wędrownego nauczania była też różnojęzyczność ludności; nauczyciel musiał znać języki: fiński, norweski, lapoński. Obecnie na zasadzie postanowienia z r. 1896 szkoły ludowe są organicznie związane z wyższemi szkołami. Dla ucznia, który ukończył szkołę ludową, stoją otworem wyższe zakłady naukowe bez ograniczeń; stosuje się to do obu płci zarówno. We wszystkich bez wyjątku szkołach są lekarze-mężczyźni dla chłopców, lekarze-kobiety dla dziewcząt. Istnieją komisye hygieny z lekarzami na czele, których postanowienia są obowiązujące dla policyi. Tylko prezydent rządu może je znosić lub zmieniać. Wychowanie fizyczne stoi na równi z umysłowem; dużą rolę odgrywa sport „ski." Z pośród 19 szkół ludowych w Chrystyanii np. 17 jest zaopatrzonych w łazienki kąpielowe, na każdego ucznia przypada przeciętnie 8 kąpieli rocznie. 29% szkół ludowych wydaje obiady dla dzieci, w większości wypadków bezpłatnie. Rocznie wyasygnowanych jest na ten cel 180,000 marek.

Dzięki obecności na kongresie wielu lekarzy, szeroko omawiano kwestyę lekarzy szkolnych. Profesor Leuboucher uprzedził życzenia ogółu w odczycie swym o zadaniach państwa w kwestyi lekarzy szkolnych. Lekarze szkolni powinni być obecni we wszystkich szkołach od najwyższych do najniższych. Rola ich nie może ograniczać się do dbałości o zdrowie młodzieży, ale winna obejmować zbieranie danych o stosunku i wpływie na zdrowotność uczniów stanu majątkowego, sposobu zarobkowania, odżywiania się itp. całej ludności wsi, czy miasta. Prof. Hartmann z Berlina w szczególności zwrócił uwagę, jak rozległe pole wpływu mają lekarze za pośrednictwem szkoły na hygienę ludową. Badanie dzieci należy odbywać zawsze w obecności rodziców, dla których również lekarz szkolny powinien wykładać hygienę na zebraniach wieczornych. Obowiązkiem jest nauczyli pomagać na każdym kroku lekarzowi w szerzeniu hygieny i w tym celu powinno się dla nich urządzić specyalne kursa hygieny. Prof. Liebermann z Budapesztu wreszcie wygłosił odczyt o zadaniach i wykształceniu specyalnem lekarzy szkolnych. Lieberman ostro krytykuje obecne stanowisko państwa wobec urządzeń szkolnych. Zapewnienie zdrowia uczniom jest ważniejsze, niż nauczenie ich wysp morza Północnego lub nazwisk poetów, których dzieł nigdy czytać nie będą. Działalność lekarza nie może wpływać na metodę nauczania, gdyż cały system obecny jest z gruntu niehygieniczny. W szkołach powinna być wykładana hygiena, co ma zresztą miejsce w Prusach, na, Węgrzech we Francyi, ale ten wykład hygieny tyleż znaczy, co lekcya śpiewu. Aby lekarz szkolny spełniał należycie swe obowiązki, musi posiadać specyalne wykształcenie. Hygiena nie jest zupełnie identyczna z medycyną. Lekarz szkolny musi przedewszystkiem znać technikę ogrzewania i wentylacyi, sposoby badania bakteryologii, chemii i fizyki w zastosowaniu do hygieny. To też każdy z nich winien ukończyć trzymiesięczny kurs hygieny praktycznej, i złożyć z niego egzamin praktyczny i teoretyczny.

Kilka odczytów poświęcono sprawie chorób zaraźliwych w szkołach. Do właściwych, zaraźliwych chorób szkolnych należy zaliczyć: szkarlatynę, ospę, odrę, koklusz, które roznieść ogromnie łatwo przy dużem skupieniu dzieci. Dlatego też należy bardzo przestrzegać, aby klasy były bardzo starannie czyszczone i dezinfekowane. Dla zabezpieczenia od zarazy tyfusowej trzeba mieć wodę hygieniczną. Doktór Legendre z Paryża badał stosunek zachodzący między stanem zdrowia nauczycieli a dzieci, uwzględniając głównie zaraźliwość tuberkulozy oraz wpływ nerwowości. Zdaniem Legendre a należy strzedz dzieci od zgubnego wpływu pedagogów na ich zdrowie. Wreszcie profesor Altschul z Pragi, uzasadniając znaczenie, jakie miałaby systematyczna statystyka międzynarodowa spostrzeżeń lekarzy szkolnych, podał projekt opracowania zebranego w ten sposób materyału z specyalnem uwzględnieniem statystyki śmiertelności wśród uczących się. Ponieważ sposób praktycznego wykonania projektu, podany przez prof. Altschul'a wywołał dużą różnicę zdań wśród zebranych, kongres postanowił wybrać specyalną komisyę, złożoną z 5 osób z prawem zapraszania do współudziału w pracy innych członków.

Wielokrotnie poruszano podczas obrad sprawę uświadamiania płciowego młodzieży szkolnej. Lekarze zwłaszcza byli za poruszeniem tych kwestyi przez lekarzy szkolnych, nauczycieli i rodziców. Za chwilę najodpowiedniejszą do tego rodzaju rozmów z dziećmi uznano rozpoczęcie nauki o zapładnianiu wśród roślin i zwierząt. Ożywioną dyskusyę o koedukacyi w średnich i wyższych zakładach naukowych wywołał swym odczytem prof. Hertel z Kopenhagi, który w imieniu swojem i kolegi swego prof. Palmberga z Helsingforsu ostro występował przeciw wspólnym szkołom dla chłopców i dziewcząt. Jak wiadomo, w państwach skandynawskich i w Ameryce koedukacya jest szeroko stosowaną. Prof. Hertel przytacza liczne dane statystyczne na poparcie swego twierdzenia. Początek wspólnego nauczania w Finlandyi datuje się od r. 1883. Obecnie istnieją 22 szkoły. Średnie, w których uczy się 2,000 dziewcząt i 1,600 chłopców. Do r. 1900, tj. do pierwszej seryi dziewcząt, matrykułowanych w szkołach dla obu płci, studentek w uniwersytecie w Finlandyi było 19, z tych 12 ukończyło całkowicie studya; stanowi to 68%. Od roku 1890—1891 liczba studentek wzrosła do 158, od 1896—1901 do liczby 572. Od roku 1901 ilość corocznie zapisujących się studentek wynosi 25% ogólnej liczby. Dyplom uniwersytecki uzyskuje 12% zapisujących się kobiet. Więcej niż połowa otrzymujących patent dojrzałości, zarzuca dalsze

studya reszta występuje w czasie studyów z uniwersytetu. Wobec tego, że kobieta fizycznie słabszą jest od mężczyzny, że 85% wychodzi za mąż, a wtedy ciążą na nich tak wyczerpujące obowiązki, jak matki i wychowawczyni, należy oszczędzać jej siły i nie obarczać programem nauki, obowiązującym dla mężczyzn. Co najmniej powinna ona pracować rok więcej, niż mężczyzna na wykształcenie średnie.

Usprawiedliwionym i pięknym celem koedukcyi byłoby jeszcze zdaniem Hertla otwarcie w uniwersytecie specyalnego fakultetu, na którym kobiety przygotowywałyby się w szerokim zakresie do obowiązków gospodyni domu, matki i wychowawczyni. Dowodzenia prof. Hertla i Palmberga znane były ogółowi kobiet, biorących udział w ruchu kobiecym, finlandzkim, jeszcze przed otwarciem kongresu. Zwróciły się więc one z listem do znanej z szerzenia idei emancypacyi p. Forster z Norymbergi z prośbą o pewne sprostowania. Jeśli kobiety kończą obecnie egzamina na patent dojrzałości z mniej chlubnymi stopniami, niż dawniej, to w każdym razie nie ustępują mężczyznom. Zaś mały procent wstępujących do uniwersytetu należy wytłomaczyć tem, że znajdują korzystne zajęcie w innych zawodach i to właśnie dzięki gruntownemu przygotowaniu, jakie zdobyły w szkole średniej. Gorącym zwolennikiem koedukacyi jest prof. Bruin z Helsingforsu, który od lat wielu pilnie śledzi stopień uzdolnienia i rozwój kobiety w średnich i wyższych zakładach naukowych i w tym też duchu na kongresie on przemawiał. Doświadczenie zdobyte przez niego jest nader dla kobiet pochlebne. Zabierali też głos dwaj nauczyciele gimnazyów żeńskich: badeńskiego i wirtemberskiego w sprawie uzdolnienia dziewcząt, zaznaczając zdolność ich do języków i, czegoby się nikt nie spodziewał, do matematyki, oraz twierdząc, że co się tyczy uzdolnienia kobiety w niczem nie ustępują mężczyznom. Roztrząsano też kwestyę moralności wobec koedukacyi. Wszyscy pedagodzy, mający sposobność zetknięcia się z koedukacyą bądź w szkołach ludowych, bądź w wyższych, zgadzali się na to, że wpływ jej na moralność dzieci jest raczej dodatnim, niż ujemnym.

Kobiety, jak widzimy, wyszły zwycięzko z tych obrad. Były one wogóle licznie reprezentowane na kongresie i, jak to pani Forster w swem przemówieniu zaznaczyła, nietylko w roli nauczycielki, dozorczyni lub przełożonej szkoły, ale i — matki. W gorących słowach podziękowała ona urządzającym kongres za wyznaczenie tak rozległej roli kobiecie na kongresie i powołanie jej do obrad bez żadnych ograniczeń.

Z pośród kobiet zebranych pani prof. Kruckenberg wygłosiła też odczyt o roli, jaką odgrywa kobieta w stosowaniu hygieny. Są zwłaszcza działy, które powinna ona studyować głównie, do których zresztą posiada największe kwalifikacye. Kobieta powinna zasiadać w radzie szkolnej, do czego przyznano jej prawo w bardzo niewielu krajach.

Kongres zamknięto zaproszeniem zgromadzonych na przyszły zjazd, mający się odbyć w Londynie 1907 r.

E. Sokolnicka.

Henryk Stanley.

Kiedy przyszły historyk będzie szukał przyczynków do psychologii naszych czasów, napewno przeczyta z ciekawością i zanotuje sobie następną charakterystykę Stanley'a, tego Pizzara XIX wieku: „Na najświetniejszą kartę *naukowego* podróżnictwa współczesnego padła smuga żałobna: Henryk Stanley, *odkrywca Afryki* wewnętrznej, który *podarował* cywilizacyi olbrzymie obszary nieznanego przedtem nikomu świata, umarł.“

Nie wiem, na jakiej zasadzie imię tego ciemnego, zuchwałego awanturnika, gwałtem wtłaczane jest w szeregi A. Humboldta, Livingstona, Reclus, Nordenskjölda, Nansena i tylu innych, istotnie jasnych i sławnych imion. Przecież ten człowiek *nic* nie odkrył i *nic* nie dał ludzkości, gdyż przejście ogniem i mieczem przez krainy, które już zaczęły wchodzić w zakres badań naukowych powstrzymało jedynie ich dalsze poznanie. Henryk Stanley zaszkodził ludzkości przez wzbudzenie nienawiści rasowych, zaszkodził ludzkości przez powtórzenie okropnych scen zawojowania Ameryki... zaszkodził nareszcie ludzkości przez wzbudzenie w Europejczykach dzikich instynktów uczczonych w jego osobie... Stanley, którego imieniem murzynki straszą swe dzieci, nicuk i kłamca, którego opisów wstydzi się cytować i nie ufa im żaden poważny uczony, zabójca setek niewinnych ludzi dla celów samolubnych, dla własnej karyery, gdyż gubił ich, niby to ratując Livingstona i Emina Paszę, gdy tymczasem obu żadne nie groziło niebezpieczeństwo i zaczęło się ono dopiero po przybyciu nieproszonego obrońcy — człowiek, któremu podanie ręki w swoim czasie zakwestyonował jeden z wybitnych i szlachetnych Anglików — taki człowiek stawiany jest na świeczniku ludzkości i żałują jego śmierci, gdy tymczasem należałoby powiedzieć: szkoda, że się urodził. Protestuję przeciwko czci Stanley ów! Miejsce im na haniebnej liście ludzkości!

Wacław Sieroszewski.



FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Bajka o czapli.

Bywają upory niczem niepokonane, chociaż niczem nieusprawiedliwione tak dalece, że stanowią zagadkę, co je właściwie podtrzymuje. Do takich uporów należy frazes, że „pozytywizm warszawski był wykwitem mieszczaństwa i orędownikiem materyalizmu w naszym rozwoju społecznym.“ Na stu głosicieli tej banialuki stu nie czytało ani jednego artykułu dawnych „pozytywistów warszawskich“; stu również nie zadało sobie pytania, jaki może być związek między filozofią pozytywną a zachęcaniem ludzi do zakładania fabryk i napychania kieszeni; stu wreszcie ani na chwilę nie pomyślało, jakiby byłby dziś ich „idealizm,“ gdyby się nie wykształcił w szkole owego „materyalizmu.“ Wszystko są to kwestye niegodne uwagi głów, wyrokujących po wyssaniu palca o jednym z najważniejszych momentów naszego życia społecznego. Tymczasem mamy przed sobą fakt w swej istocie niezmiernie prosty, a w swym wpływie niezmiernie doniosły, mianowicie: 1) pozytywizm filozoficzny, przeszczepiony do nas w ósmym dziesiątku lat przeszłego stulecia, oddziałał i dotąd oddziaływa jako metoda naukowa na zasady, zakres i kierunek naszej wiedzy, a jako systemat etyczny — na pobudki i objawy naszych uczuć altruistycznych, którym nadał postać najszlachetniejszego humanizmu; 2) przypadkowo, a w każdym razie luźnie z nim związany prąd reformacyjny „młodej prasy“ zdemokratyzował przekonania i dążenia naszego społeczeństwa, wskazując mu obowiązek „pracy u podstaw“ dla dobra ludu a potrzebę „pracy organicznej“ dla dobra ogółu. Gdzie w tych ramach mieścili się rycerze „mieszczaństwa“ i agenci przemysłowego materyalizmu — nie wiemy, ale natomiast wiemy, że gdyby nie oni, dzisiejsi nasi „idealiści,“ którzy właściwie są ich rodzonymi synami, możeby jeszcze — jak mówi Biblia — spoczywali w biodrach ojcowskich.

Nie dziwi nas nieznajomość tej jasnej sprawy we wsteczniczem plotkarstwie lub w nielepszej od niego radykalnej paszkwilomanii za granicą, ale dziwi nas podobna bajka w piśmie redagowanem przez „pozytywistę warszawskiego,“ który mógł naturalną koleją rozwoju posunąć się w swych przekonaniach dalej, ale nie ma chyba żadnego powodu robić karykatury z zasad poprzednich. A oto, co znajdujemy w *Głosie*: „Znikła prawie bez śladu (?) niechęć do dawnych pozytywistów w kołach konserwatywnie usposobionych... Dawni przeciwnicy dziś ręka w rękę pracują razem w dobrem porozumieniu (!?) na różnych polach, w instytucyach, w prasie... Z pozytywistów ci, którzy nie dostrzegając w sferze swego wpływu dawnego „zapału,“ widząc, że ich (?) „idee“ nie znajdują zastosowania i odgłosu, wnioskują, że wogóle niema dziś tego „zapału,“ ani żadnych „idei,“ i nie chcą uznać, że one tylko przeniosły się gdzieindziej i treść swą zmieniły.“ Nie możemy odgadnąć, coby autor tych słów odpowiedział, gdyby go zapytano: 1) Gdzie u nas są „pozysywiści“ (w jego pojęciu)? 2) Gdzie oni pracują „w dobrem porozumieniu“ z konserwatystami? Gdzie skarżą się na brak „ich zapału“ i „ich idei“ w społeczeństwie? Bo, o ile nam wiadomo, „pozytywistów“ (tj. liberałów z przed 30 laty) dziś niema, gdyż jedni z nich wymarli, drudzy przeszli do obozów zachowawczych, a inni do radykalnych. Na kogo więc właściwie wylewa się miłosierdzie? Wartoby przytoczyć chociaż jedno nazwisko... ażeby raz wyjść z mgieł frazeologii i skończyć z bajką o „czapli na wysokich nogach.“

Bb.

Obłudna reklama.

Bardzo smutnym jest widok nadmiernego zachwaszczenia się naszej prasy reklamą. Nie chodzi zaś nam o bujny porost tego zielska w wydawnictwach, które zawsze i wszędzie dostarczają mu gruntu, ale o znieprawianie się pism, które na swym sztandarze wypisały godła krytycyzmu, bezstronnej naukowości i rzetelnego sumienia. Jak zwykle, piękne słowa chodzą swoją drogą, a brzydkie czyny — swoją. Przy westchnieniach, rozdzieraniu szat i psalmowych klątwach na cudze grzechy, z tą samą bezczelnością, co w najprzedajniejszych świstkach, przecenia się jedno a bagatelizuje drugie, wrzeszczy się aż do rozdarcia gardła lub milczy grobowo, podnosi się w górę lub spycha na dół— zależnie od stosunków osobistych. Powtarzamy: osobistych, gdyż w tych fałszerstwach nie biorą nawet udziału względy partyjne. Przeciwnie, im bliżej ktoś stoi przekonaniowo, tem energiczniej bywa podkopywany. Patrząc nietylko na scenę, ale i za kulisy, widzimy w naszej prasie kilka osobników najzupełniej pozbawionych instynktu społecznego, a natomiast z natury obdarzonych mocnem samolubstwem, chorobliwą pychą i lisiem intryganctwem. Prywatnie rozszerzają te istoty potwarcze wieści o ludziach lub wydawnictwach, które im w drodze stoją, a publicznie bijąc w dzwon niepokalanej i niewzruszonej sprawiedliwości, uprawiają po cichu najordynarniejszą reklamę. Rozumie się, ani ta, ani żadna apostrofa nie zatamuje ich obłudnej roboty — i nie w tym celu piszemy te

słowa. Chcemy tylko pobudzić czytelników do krytycznej kontroli nad pismami upiżmowanemi „dobrem ogólnem," do zajrzenia czasem pod maskę ich czułej sprawiedliwości. *wc.*

Nie wytrzymali.

Cichutko, wstydliwie, licząc na krótką pamięć oburzenia, powrócili nasi dziennikarscy Homerzy do swych porzuconych lir i przerwanych pieśni na cześć wyścigów konnych. Może i zapomniano już, że niektóre dzienniki nasze, ażeby nie roznamiętniać gołych „gentlemanów" do totalizatora, postanowiły nie zamieszczać sprawozdań z pola Mokotowskiego. Ślubu tego dotrzymały, zdaje się, przez rok. Ale czy je ogarnęła tęsknota do zakazanego owocu, czy Towarzystwo końskie postarało się o usunięcie skrupułów totalizatorowych z sumienia stróżów zdrowia moralnego — dość że obecnie rozpoczęły się znowu w milczących dotąd pismach rapsody wyścigowe. Pierwsze pieśni są jeszcze trzymane w tonie spokojnym, ale bądźmy cierpliwi: pomału muza się rozgrzeje i natchnie opisy, porywające najobojętniejszych do... totalizatora. Należy mu się ta pomoc: jak wzmiankowaliśmy niedawno, biedaczek bardzo jest zmartwiony odmową jego prośbie o zmniejszenie podatku na rzecz szpitali. *y.*

Pojedynki czy sądy honorowe?

Kur. Warszawski umieścił artykuł wstępny p. t. „Ochrona czci", w którym gorąco popiera wykorzenienie zwyczaju pojedynków przez organizowanie lig przeciw-pojedynkowych, które mogłyby dawać dostateczne zadosyćuczynienie za krzywdę na czci i honorze. Ligi takie istnieją nietylko w Anglii i Stanach Zjednoczonych, gdzie pojedynków już wcale nie znają, ale niemal we wszystkich krajach cywilizowanych. Obecnie taka liga powstała we Lwowie i autor zachęca Warszawę do naśladownictwa.

Skoro nasz ogół uważa *w zasadzie* pojedynek za przeżytek średniowieczny, sprzeciwiający się zdrowemu rozsądkowi, a *w praktyce* stosuje go, jako jedyny sposób regulowania spraw honorowych, to zabiegi w celu wykorzenienia tej anomalii trzeba uważać za usiłowania ze wszech miar słuszne, logiczne i wymagające solidarnego poparcia ogółu i całej prasy. W każdym razie toż samo pismo nie może wypowiadać się za dążeniem i przeciw niemu. Tymczasem w tym-że numerze *Kuryera* czytamy następującą wiadomostkę:

Napaści. — W bramie... na pana X. (uważamy za właściwe nie powtarzać nazwisk i adresów) napadło dwóch braci Y., którzy mając do niego osobiste urazy, pobili go ciężko kijami, a sami odjechali w pociągu, idącym do Aleksandrowa za granicę.

A dalej w tym samym wierszu czytamy:

Na ul. Zakroczymskiej napadł jakiś nieznajomy na Józefa Bobińskiego i, zadawszy mu kilka ran nożem w twarz, zbiegł.'

Po dwóch dniach spotykamy w tejże sprawie, co następuje:

Wyjaśnienie. Z powodu zajścia w bramie... opisanego w N: naszego pisma, otrzymujemy następujące wyjaśnienie· Zajście owo było wynikiem sporu w sprawie osobistej; p. Y. obywatel ziemski z gub.... zamieszkały chwilowo w Warszawie, w hotelu.., uderzył laską pana X, lecz p. Y. nie opuścił dotychczas Warszawy. Brat jego, bierny świadek całego zajścia, wyjechał na trzeci dzień, udając się do majątku swego w... gdzie stale zamieszkuje.

Wreszcie zjawiło się nowe „wyjaśnienie" tym razem ze strony p. X. donoszące, że sprawę oddaje do sądu.

Z powyższych danych można wnosić, że jesteśmy w obec zajścia na podkładzie „zniewagi honorowej."

Lecz prosimy o wytłomaczenie, co takie zajście może ogół obchodzić? Nawet w ogłoszeniach płatnych nie powinno się znajdować. Redakcya, umieszczając taką wiadomość w tekście, daje do zrozumienia, że może ona być użyteczną lub ciekawą dla czytelników. A tymczasem są to sprawy czysto osobiste, o których lepiej byłoby nie pisać nawet w sprawozdaniach sądowych.

Po cóż więc na pierwszej stronie drukować artykuły ideowe o „Ochronie czci," a na dalszych rozgłaszać skandale prywatne?

Przestańmy interesować się stronami znieważającemi się, pojedynkującemi itp., nie drukujmy ich nazwisk, listów, odpowiedzi, pomijajmy takie zajścia milczeniem, jako coś nieprzyzwoitego i niewłaściwego, czego strony nie powinny ostentacyjnie rozgłaszać, trzymajmy się tej samej zasady w stosunkach towarzyskich, a liczba pojedynków zmniejszy się niezmiernie. Bo większość tych „bohaterów", a przedewszystkiem strona wyzywająca, występuje najczęściej przez arogancyę, manię pojedynkową lub chęć popisywania się ze swą rycerskością, niemającą zresztą nic wspólnego z prawdziwą odwagą cywilną... *Kropka.*

Nowe drogi.

„Otacza nas zewsząd mgławica nieskrystalizowanych jeszcze pojęć, pragnień, zasad, a z tej mgławicy wydobywa się rozpaczliwy krzyk nowoczesnego człowieka, domagającego się wielkiej swobody jednostki, zerwania muru wiekami uświęconych konwenansów, zwyczajów i obyczajów. Nie wszyscy zadawalają się teoretycznem szukaniem nowych, lepszych dróg, prowadzących do szczęścia ludzkości. Praktyczniejsi— kradną." W te słowa ujął zagadnienie doby współczesnej wielki krytyk i wskazówkodawca — p. Jeske-Choiński. Podług niego szukanie nowych dróg, o ile schodzi z piedestału teoryi, odbywa się wyłącznie na polu przestępstw kryminalnych. Rzadkie to nawet i w naszej poczciwej Warszawie określenie postępu. Od dawna chyba nie było wypowiedziane bardziej obskurantyzmem i ignorancyą cuchnące twierdzenie. Zbijać go ani polemizować z niem niepodobna, bo kto w XX wieku pomimo rozwoju nauki, wysubtelnienia natury ludzkiej, ewolucyi myśli śmie odzywać się w ten sposób, ten nie zdradza zdolności do zrozumienia czegokolwiek, a więc i najbardziej przekonywających argumentów.

W owem objawieniu jest jeszcze jedna rzecz ciekawa. Ciekawa przedewszystkiem dlatego, że inne pisma codzienne pochwyciły te tematy. „Brak nam silnych charakterów" — jęczy np. *Goniec.* Jeżeli w otoczeniu, w jakiem się obracają warszawskie organy publiczne, żałące się na zanik poczucia „uczciwości," brak ludzi wybitniejszych, to jeszcze nie powód, aby zarzut ten czynić ogółowi. Jeżeli idzie o jednostki, to tak dzisiaj, jak niegdyś byli i są ludzie pełni zapału, poświęcenia dla spraw ogółu, niosący mu w ofierze całe swe życie, chodzący stale w podartych butach i nietłoczący się do „biesiadnego stołu"; lecz nic dziwnego, że ich postaci dziennikarze dojrzeć nie mogą, bo zbyt wielka przepaść legła między nimi. Jeżeli idzie o całość jednostek, obejmowanych pojęciem „ogół," to lamenty niczego nie objaśniają, niczego nie mówią. Kwestya to skomplikowana, trzeba ją dobrze poznać, przestudyować; przykładanie miarki dobra i zła, nic tu nie pomoże. Rozprawianie o naturze tych kategoryj etycznych nie przynosi bynajmniej szkody, jak to twierdzi jeden z poważniejszych publicystów pism codziennych, lecz należy wiedzieć, o czem się mówi, a nie pleść koszałki opałki, okraszone jękliwym sentymentalizmem i groszową pozą kaznodziejską. Tylko człowiek świadomy swego człowieczeństwa, nieuznający żadnych formułek, narzucanych z zewnątrz, patrzący w tajemnice bytu własnemi oczyma, może stanąć na szczycie rozwoju swej jaźni w całem bogactwie wszystkich sił żywotnych. *z.*

Jeden z wielu.

W numerze sobotnim dzienniki podały znowu fakt zemdlenia na ulicy z głodu. Tego rodzaju doniesienia spotykamy coraz częściej na łamach pism naszych; przyzwyczailiśmy się do nich, jako do rzeczy zwykłych i niedziwiących nikogo. Dać mu bon do taniej kuchni, niech go Pogotowie odwiezie do szpitala lub przytułku—i sprawa załatwiona. Po za tem będziemy rozprawiać, że robotnicy umyślnie się kaleczą, aby otrzymać odszkodowanie, że niższe sfery są rozpróżniaczone, zdemoralizowane i przytem zuchwałe. Istotnie, trzeba być bardzo zuchwałym, aby zemdleć z głodu — w ogrodzie Saskim, przecież są od tego odległe przedmieścia. *d.*

Sprawa ochron.

Wydział hygieny ludowej Towarzystwa hygienicznego na paru już posiedzeniach w r. b. zajmował się ważną sprawą podniesienia warunków zdrowotnych w naszych ochronach. Jeszcze w marcu dr. Gawroński wygłosił referat o zadaniach ochron wobec współczesnych wymagań hygieny, wskazując przytem, że nawet ochrony, stojące najwyżej pod względem zdrowotnym, dalekie są od niezbędnego minimum warunków hygienicznych. Dzieci wskutek niedostatecznej ilości powietrza i światła są narażone na utratę największego skarbu warstw pracujących — zdrowia.

Do sprawy tej powrócono na posiedzeniu w d. 4 maja, na którem sformułowano ostatecznie wnioski, powzięte w tym przedmiocie przez wydział hygieny ludowej.

Wynikiem odczytów i rozpraw są następujące punkty:

1) Zakładanie jak najliczniejszych ochron w kraju jest ze wszech miar pożądane, zwłaszcza w bardziej przemysłowych, gęściej zaludnionych i bardziej emigracyą dotkniętych okolicach kraju.

2) Przeważna większość dzisiejszych ochron musi dążyć do poprawy warunków hygienicznych, znaleźć widniejsze, przestronniejsze i suche lokale z dobrą podłogą, ogródek, dobrą wodę do picia, porządne ustępy, rozbieralnie, urozmaicenie zabaw i zajęć, odbywanie ich jak najczęściej na świeżem powietrzu, możliwe uwzględnienie kąpieli dla dzieci. Nadto każda nieco zamożniejsza ochrona winna myśleć o stworzeniu zajęć dla dzieci starszych.

3) Wobec nizkiego poziomu potrzeb naszej ludności uboższej nawet ochrony nieodpowiadające w zupełności dzisiejszym wymaganiom hygienicznym są pożądane.

4) Uboższe ochrony mogą prowadzić ochroniarki z ludu, byle obdarzone odpowiedniemi właściwościami charakteru i usposobienia.

5) Dla postępu, niezbędnego w większości ochron, konieczne są liczne wzory do naśladowania i to wzory różnych stopni, a więc ochrony wzorowe, prowadzone przez ochroniarki wykształcone.

6) Wzorowych ochron i ochroniarek należy przedewszystkiem oczekiwać od Warszawy, jako posiadającej najwięcej ochron i uorganizowane już dwa wydziały: ochron i lekarski przy Towarzystwie dobroczynności.

7) Powstanie szkoły dla ochroniarek jest wielce pożądanem (ewentualne kształcenie ochroniarek przy istniejących już zakładach, np. freblowskich).

8) W zakładaniu i rozwoju ochron powinien brać udział cały ogół; możnaby liczyć zwłaszcza na Towarzystwo dobroczynności, oddziały hygieniczne i prasę prowincyonalną.

9) Dzieci ochron warszawskich, gorzej urządzonych pod względem hygienicznym, winny korzystać z innych urządzeń zdrowotnych, jak ogrody Raua, kąpiele ludowe itd. Wogóle dzieci z ochron i szkół powinny przepędzać więcej czasu na świeżem powietrzu.

10) Miejscowości, które nie mogą mieć ochron stałych, powinny zakładać ochrony w miesiącach letnich.

Wreszcie wydział postanowił zająć się bliższem poznaniem stanu hygienicznego ochron warszawskich. *M. B.*

LITERATURA I SZTUKA.

Antysemityzm w teatrze francuskim.

Ilekroć pojawi się w Paryżu sztuka, poruszająca bieżące, żywotne zagadnienia społeczne i oświetlająca je z nowoczesnego punktu widzenia, mijają tygodnie i miesiące, zanim nasza prasa zdecyduje się na uczynienie o niej wzmianki. Odwrotnie ma się rzecz jednak, gdy w którymkolwiek z najpodrzędniejszych choćby teatrzyków paryskich wystawiona zostanie farsa, obliczona na znieprawiony, zwyrodniały gust podróżujących cudzoziemców, którzy nawiedzając Paryż, szukają w nim nie światła, wiedzy, rozkoszy artystycznej, a jedynie zaspokojenia swych nizkich i wstrętnych upodobań do pornografii. Wtedy nie mija tydzień, a już brukowe nasze organy z największym pośpiechem obwieszczają, że „słynna i ciesząca się niebywałem powodzeniem w Paryżu sztuka znalazła tłomacza i niebawem z największą starannością odtworzona zostanie na jednej ze scen polskich." Publiczność nasza, rozciekawiona zręczną reklamą, spieszy na przedstawienie, niby po to jedynie, aby się dowiedzieć, jak dalece Paryż ów jest zepsuty, a następnie wyraża świątobliwe oburzenie w chełpliwem poczuciu wyższości moralnej własnego narodu.

W ciągu paru lat ostatnich literatura dramatyczna, francuska wzbogaciła się znaczną ilością sztuk, w których zdrada małżeńska, skandaliki życia prywatnego, a nawet dramaty familijne nie stanowiły tła, gdzie autorzy mieli jedynie na celu poruszenie kwestyj ogólno-ludzkiego znaczenia, zwrócenia uwagi na różne rany i bolączki społeczne, wykazanie sprzeczności, zachodzących pomiędzy sprawiedliwością a kodeksem, wreszcie przedstawienie dróg, jakiemi pójdzie ludzkość świadoma swych celów i dążeń. Do rzędu takich należy trzyaktowa sztuka R. Fanchois pod tytułem *Exode*, wystawiona niedawno staraniem znanego artysty dramatycznego, Gemier'a. Stanowi ona niejako odpowiedź na dwie bulwarowym zapatrywaniom schlebiające komedye, grane w ciągu ostatnich miesięcy: „Le Retour de Jérusalem" Daunay'a i „Décadence" Guinon'a. W obu tych utworach Żydzi traktowani są jako rasa, której wybitną i powszechną cechą jest cześć i przywiązanie do pieniędzy, a jakkolwiek w tonie ogólnym autorzy strzegli się szarży i nie ubiegali o łatwy i tani komizm naszych antysemitów, ośmieszających mowę, gesta lub nawyknienia żydowskie, to jednak niewątpliwie obie sztuki cel zamierzony osiągają — wywołują uczucie wzgardy dla Żydów. Fanchois, obdarzony duszą poetyczną, odczuł silnie tę krzywdę i dał obraz teraźniejszego społeczeństwa z jego klasowymi przywarami, w którem Żydzi nie są ani gorsi, ani lepsi, tylko tacy, jakimi wytworzyły ich warunki historyczne i ekonomiczne. Utwór posiada głębsze znaczenie dzięki temu, że autor stanął na szerokim horyzoncie, scharakteryzowawszy bowiem antysemityzm pod względem lokalnym i aktualnym, wskazał ideał ojczyzny ogólno-ludzkiej, gdzie jedynem credo będzie nauka i miłość. Przytem w malowaniu obecnego społeczeństwa potrafił zachować spokój i bezpotrzebnie nie szafował czarnemi barwami, dając tu i owdzie typy ludzi czystych i szczerze pragnących szczęścia ludzkości.

W akcie pierwszym przesuwa się przed nami cała galerya postaci, kilku znamiennymi rysami dosadnie scharakteryzowanych. W domu deputowanego Dumont, który dotychczas nie odgrywał żadnej roli w świecie politycznym, zebrali się inicyatorowie Ligi antysemickiej, a więc jest tu sędzia wielce ograniczonego umysłu, dziennikarz Żyd przechrzczony, margrabia żyjący niemal wyłącznie wśród dam półświatka, profesor ożeniony z przechrzczoną Żydówka, wreszcie ksiądz. Brak jedynie przedstawiciela świata wojskowego, tu jednak Dumont popełnił omyłkę w wyborze generała Guillaume. Gdy bowiem wszystkich powyżej wymienionych łączy jedność przekonań, generał pojmuje patryotyzm inaczej, nie chce przyczynić się do wzniecania nienawiści jednych obywateli kraju przeciw drugim, a tem samem w kampanii antysemickiej udziału nie weźmie. „Jest to zbrodnia, za którą odpowiedzialności razem z wami ponosić nie chcę! Choćbyście użyli wyrazów jak najszumniejszych, najodpowiedniejszych do wywołania w duszy czytających wrażenia, że przedsięwzięcie wasze jest szlachetne i bezinteresowne, ludzie uczciwi będą zawsze gardzić waszą robotą."

Te słowa wywołują u zebranych takie zdumienie i oburzenie, że zachowania generała nie umieją sobie inaczej wyjaśnić, jak tem, iż musi on należeć do wolnomularzy.

Ksiądz udziału w kampanii *de facto* nie bierze, „nie zajmują go bowiem kwestye taktyki przejściowej, wznosi się ponad kłótnie ludzkie, gotów zawsze pocieszać zwyciężonych i opiewać w imieniu Kościoła sławę zwycięzców..."

Pani Dumont, to przeciętny typ mieszczki współczesnej, narzeka ona na polityko-manię swego męża, od czasu bowiem gdy przyszło mu do głowy stanąć na czele ruchu antysemickiego, cały porządek w domu zrujnowany; przyprowadza o każdej porze gości, mających brudne ręce i wytarte surduty, niszczących meble i mówiących ciągle w tonie kłótliwym, ordynarnym.

(D. n.)

Iza Zielińska.

ZE SZTUKI.

Wystawy konkursowe w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych.

W Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych otworzono wystawę konkursową. Składa się ona z konkursów: malarskiego, reprodukcyj graficznych, ornamentyki malarskiej i ornamentyki plastycznej.

Na żadnym z tych konkursów nie ma ani jednej pracy wyjątkowej i dowodzącej, że takie turnieje z nagrodami pieniężnemi pobudzają rzeczywiście artystów do większych wysiłków.

Na konkursie malarskim widzimy prace lepsze i gorsze, ale wszystkie takie, jakie i bez niego zjawiłyby się na wystawie: jakieś portrety obstalunkowe, studya, pejzaże, główki, szkice itp. Choć niema tu nadzwyczajności, jednak znajdziemy niejedną pracę bardzo dobrą.

W portrecie dr. Hoyera, malowanym przez Lentza, dużo jest energii, charakteru i prawdy, przewyższa on wszystkie portrety, jakie nam w ostatnich latach Lentz pokazał.

Józef Rapacki również dał jeden z najprawdziwszych swoich krajobrazów. Niema tu sztuki, brawury, nie siedzi na wierzchu ta zręczność i łatwość malowania, jaką u Rapackiego często spotykamy, lecz przeciwnie krajobraz ten ujmuje swą prawdą, skromnością i prostotą, po za któremi zupełnie się ukryła wielka subtelność i umiejętność artysty. Jakiś kącik ogrodu dzikiego z laskiem brzozowym, ławka i stół kamienny, a wszystko kąpie się w słońcu jesiennem.

Teodora Ziomka krajobraz zimowy z rzeką, po której płynie kra rozmiękła, jest również ciekawą pracą, utrzymaną dobrze w ciężkim, czarniawym tonie schyłku pochmurnego dnia zimowego. Nutę weselszą rzuca bardzo dobre studyum tegoż artysty, przedstawiające śnieg nad brzegiem jeziora, w dniu słonecznym.

Przyciąga też uwagę Andrychewicz swą pracą pod tytułem „Magdalenka." Dziewczyna młoda, nieładna, wątła, zaniedbana, zobojętniała już na wszystko, pędzi swe niedługie życie śród szumowin wielkomiejskich, chętnie się upija, bo ją do tego przyzwyczaili, oddając się z rąk do rąk nie z temperamentu, ale dla tego, że przecież trzeba jakoś zarobić na kawałek chleba. Oto typ, który Andrychewicz świetnie uchwycił i to nietylko zaznaczając jego cechy zewnętrzne, ale charakteryzując wybornie całą stronę duchową i moralną. Jest to obraz bezwątpienia najciekawszy i najbardziej mogący zainteresować z pośród ubiegających się o nagrody konkursowe.

Mieczysław Jakimowicz dał kilka subtelnych, niewielkich rysunków piórkowych, podlawowanych tuszem, które do złudzenia naśladują akwaforty.

Zasługują na uwagę: „Pogrzeb wiejski" Kuczborskiego, krajobraz deszczowy Stabrowskiego, Trzebinskiego „Stare Miasto" w oświetleniu gazowem, „Cmentarz" Sobeckiego, z wybornie odczutym śniegiem, Eichlera dobra notatka nastrojowa tłumu, zgromadzonego w licho oświetlonej knajpie — i kilka innych.

Tański dał akwarelę o temacie romantycznym, stylizując odpowiednio stronę techniczną. Jest to nagrobek dwojga kochanków, obrośnięty bujną zielenią, ale to raczej winieta ilustracyjna, niż obraz.

Konkurs graficzny zgromadził bardzo mało prac, niczem prócz poprawności nieodznaczających się.

Warto jednak skorzystać z okazyi i pomówić o samych sztukach graficznych, w których nasza publiczność dotąd nie zagustowała.

Sztuki graficzne ze względu na stronę techniczną wykonania dzielą się na: drzeworyt, akwafortę, litografię, a do nich przyłączyła się od niedawna autolitografia barwna.

Drzeworyt znamy doskonale z ilustracyj w pismach. Na bukszpanowej desce artysta żłobi rylcami mnóstwo rowków. W ten sposób pozostawione wypukłe kreski pociągnięte farbą drukarską odbijają się czarno na papierze. Panowanie drzeworytu nie jest tak dawne. Rozpoczęło się razem z rozwojem czasopism ilustrowanych, a zatem w ubiegłem stuleciu; u nas główną szkołą dla niego był *Tygodnik Ilustrowany*, *Tygodnik Powszechny* i *Kłosy*. Jest to jedyna gałąź sztuk graficznych, o której można powiedzieć, że wytworzyła całą plejadę artystów i wielu z nich do dziś jeszcze trzyma wysoko sztandar tej sztuki. Bo trzeba zaznaczyć, że jak szybko się rozwinęło drzeworytnictwo, tak też i szybko za-

czyna znikać pod naciskiem nowych wynalazków konkurencyjnych.

W akwaforcie zasada wykonania jest wręcz przeciwna. Każde wgłębienie i każdy choćby najdelikatniejszy sztrych igłą na płycie miedzianej będzie się odbijał jako linia czarna, te wklęsłości bowiem wypełnia się farbą drukarską, a resztę kliszy oczyszcza się. Następnie prasuje się kliszę bardzo silnie razem z grubym, wilgotnym papierem. W ten sposób papier zostaje wtłoczony w te wszystkie wklęsłości i zabiera z nich na siebie całą farbę. Podobnie odbija się miedzioryt, ale wykonanie jego różni się zasadniczo. Zwykle do uzupełnienia akwaforty służy akwatinta, dająca nie oddzielne kreski, lecz tony jakby pędzlem wykonane.

W akwaforcie, z wyjątkiem Łopieńskiego, nie mamy dziś specyalistów. Za to wielu malarzy zainteresowało się nią i choć uprawiają tę sztukę dorywczo, jednak osiągali niekiedy wysoce artystyczne rezultaty. Takim jest Pankiewicz, Wyczółkowski i kilku innych. Niedawno zmarły w Paryżu Feliks Jasinski był pierwszorzędnym akwaforcistą.

Miedziorytnictwo nasze łączy się nierozerwalnie z imieniem nieżyjącego już Redlicha. Dziś nie posiadamy nikogo, ktoby go zastąpił.

W reprodukcyi litograficznej, która miała swe świetne czasy w połowie zeszłego wieku, dziś nanowo odżywa duch artystyczny. Długi okres czasu służyła ona tylko do wykonywania etykiet i tym podobnych nieartystycznych produkcyj; przywraca jej dawne znaczenie afisz ilustrowany, uprawiany za granicą przez pierwszorzędne talenty, a i u nas stawia on już pierwsze, śmielsze kroki. Drugim bodźcem do rozwoju litografii stała się autolitografia, dająca piękne obrazy barwne, wykonywane pod osobistym kierunkiem, a często i własnemi rękami autora. Do litografii używa się grubych i bardzo równych płyt kamiennych. Za pomocą pewnych wykwaszań powierzchni kamieni farba drukarska przystaje tylko do tych miejsc kamienia, które były pokryte sztrychami rysunku bądź piórkowego, bądź kredkowego, bądź wreszcie wykonanego sylwetowo tuszem i pędzlem.

Przejdźmy teraz do obecnego konkursu.

Prac niewiele i z wyjątkiem drzeworytu Władysława Klejna (Śmierć Tenczyńskiego podług Matejki) są to wszystko raczej próbki lub prace pobieżne, niż popisowe dzieła konkursowe.

Siedleckiego Franciszka portrecik Norwida (akwaforta z akwatintą) modelowany jest miękko, choć słaby w rysunku. Tegoż inne prace jeszcze słabsze.

Niedzielska Marya dała kilka akwafort ręcznie podtuszowanych a przedstawiających cerkiewki galicyjskie, dobrze rysowane i ciekawe, jako motywy.

O autolitografiach z któremi wystąpili tylko Gottlieb i Cylkow nie wspomniałbym, gdyby to nie były sposoby tak nowe, że obowiązkiem sprawozdawcy poinformować o nich publiczność.

Obaj ci panowie silili się na dzieła symboliczne, traktowane szeroko i z możliwem uproszczeniem szczegółów, a wykazali, że są tylko kompilatorami bardzo powierzchownymi. Obaj zostali nagrodzeni, więc pobłażliwe jury wyszło widocznie z zasady, że w braku laku dobry i opłatek.

W pracach Gottlieba można się doszukać stron dobrych, choć są tak poplątane z dowodami zupełnej nieumiejętności, że doprawdy budzi się przypuszczenie (może zresztą niesprawiedliwe) czy dobre strony nie są tylko naśladowane, a nadzwyczajne dziwactwa lub nieumiejętność jedyną, oryginalną własnością autora?

Jedna z prac np. przedstawia kawałek placu wyłożonego flizami, a w głębi stopnie i motywy architektoniczne budowli. Wszystko to ma formy geometryczne, więc nie da się ukryć żaden błąd perspektywiczny a jest ich sporo kardynalnych i krzyczą gwałtu, demonstrując brak przygotowania autora.

I takie rzeczy są nagradzane?!

Jako kolorysta Gottlieb nie umie umotywować uproszczeń plam barwnych i niejako sprowadzić ich do wspólnego mianownika, tylko naśladuje powierzchownie japouszczyznę przefiltrowaną już przez wydawnictwa francuskie lub niemieckie. Trochę to przypomina dawniejsze podręczniki do malarstwa akwarellowego, gdzie wskazywano, jak wygląda pejzaż podmalowany blado, potem jak się wzmacnia tony i t. d.

Kto chciał przyjrzyć się dobrym autolitografom, ten miał doskonałą sposobność w salonie Krywulta na wystawie kilkudziesięciu prac Henryka Rivière'a. I tam były barwy nikłe, i tam artysta dążył do uproszczenia i uogólnienia środków, a mimo to wielka prawda biła z ogółu tych rysunków i zaledwie niektóre wpadły w monotonną manieryczność.

Pan Cylkow jest powtórzeniem pana Gottlieba, tylko w znacznie gorszem wydaniu.

Pozostaje mi jeszcze dorzucić słów kilka o konkursach ornamentyki malarskiej i ornamentyki plastycznej. Ta ostatnia dostarczyła jednego jedynego okazu rzeźbionego w drzewie przez Antoniego Polkowskiego. Jako snycerstwo jest to praca bardzo dobra, ale w konkursach chodzi nie o rzemieślniczą stronę wykonania, lecz o myśl oryginalną i ciekawą. Tego po za zręczną kompilacyą znanych motywów nie dostrzegamy.

Ornamentyka malarska liczniej się przedstawia, ale nie jest udatniejszą. Mamy tu kilka prac Emila Lindemanna, których strona ornamentacyjna jest albo klejeniem motywów znanych powszechnie, lub bardzo niezręcznem komponowaniem w stylu zakopiańskim.

Antoni Buszek dał kolosalnych rozmiarów gałęzie róży i bratki. Rysunek śmiały, rozmach duży, ale jak większość nagromadzonych tu prac nie posiada cech, wskazujących zastosowanie praktyczne tego pomysłu.

W podobnych warunkach znajdują się prace zdolnego skądinąd artysty malarza, Stanisława Masłowskiego. Mimo że autor pisze pod kartonami, że to są skrzydła parawanu, robią one jednak wrażenie kredensów, kominków i t. p.

Przytem uderza wielkie niedbalstwo wykonania możliwe przy pierwszym rzucie pomysłu, lecz nigdy przy wystawianiu pracy na widok publiczny. Masłowskiego odróżnia od innych tylko to, że myślał o idei przewodniej. Tą ideą są u Masłowskiego poszukiwania motywów nowych, ale opartych na dawnych zabytkach polskich.

Usiłowania to nadwyraz piękne i niezaprzeczenie trudne do przeprowadzenia, ale niestety nie możemy powiedzieć, żeby się Masłowskiemu w wystawionych pracach powiodły. *Sierp.*

Franciszek Lenbach.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Dnia 23 kwietnia zmarł w Monachium najznakomitszy portrecista naszych czasów. Syn ubogiej rodziny niemieckiej, życie zaczął jako mularz, a wzniósł się na taki stopień sztuki, że najwięksi tego świata ubiegali się o jego względy i zaszczytem się stało mieć portret namalowany przez Lenbacha. Mistrzostwo jego polegało na sile wyrazu i przedziwnej trafności, z jaką wydobywał z każdej twarzy te najgłębsze, najsubtelniejsze rysy, stanowiące jej duszę. Szczegóły zaniedbywał, barwy lekceważył, lecz prostymi napozór sposobami wydobywał piorunujące podobieństwo, kradł je życiu i na płótno przenosił. Słynne są jego portrety Bismarcka i papieża Leona XIII-go.

Urodził się w Bawaryi 1836 r., kształcił się w Monachium i w Rzymie. Ostatnie lata spędził w stolicy bawarskiej na stanowisku honorowego profesora akademii.

PRASA POLSKA.

W nr. 126 *Wieku* czytamy następującą, ciekawą notatkę:

Z powodu wojny obecnej przypomniano sobie teraz, że w r. 1817 pojawiła się przepowiednia teraźniejszej wojny rosyjsko-japońskiej. W owym roku wydał rosyjski wiceadmirał i generalny intendent floty, Gołownin, dwutomowe dzieło p. t. „Moja niewola w Japonii.“ Niemal jednocześnie pojawiło się tłomaczenie niemieckie i było rozchwytywane przez ówczesną publiczność. Gołownin najpierw opisuje, jak się dostał do niewoli, w której przebył dwa lata, a następnie szczegółowo opowiada o prawie nieznanym wówczas narodzie japońskim, w końcu zaś przepowiada mu wielką przyszłość, a Rosyi— wielkie kłopoty z powodu tego sąsiada. Gołownin okazał się w tem dziele nader przewidującym. Oto treść tej ciekawej książki:

W jesieni roku 1792 polecił rząd rosyjski porucznikowi marynarki, Chwostowowi, zwiedzić na małym, wojennym okręciku wysepki, leżące dokoła Kamczatki, opisać ludność tamtejszą i ustalić, które z tych wysp można przyłączyć do Rosyi, a które, jako zaludnione przez Japończyków, powinny być uważane za własność Japonii. Nie wiadomo, z jakiego powodu Chwostow spalił jedną wioskę japońską na którejś z tych wysepek, mieszkańców wymordował, a wszystko, co znalazł wartościowego, zabrał. W Rosyi nic o tem nie wiedziano. W kilkanaście lat potem rząd petersburski kazał Gołowninowi udać się na wojennym okręcie do Japonii i zawrzeć z nią umowę handlową. Gołownin zawinął do wojennego portu Kunaszyr i był przez Japończyków przyjęty grzecznie, ale oziębłe. Miejscowa władza nie chciała wchodzić w żadne z nim układy, lecz wnioski jego posłała do stolicy, a tymczasem dała jego okrętowi wygodne miejsce w porcie i posłała mu żywność. Pewnego razu Gołownin z całą swą załogą wysiadł na brzeg i zwiedzając miasto, znacznie się zagłębił w okolicę. Wówczas otoczyli go Japończycy. „Mali to ludzie i nikli — pisze Gołownin —, a my, rosłe chłopy, wyglądaliśmy przy nich, jak Guliwer między liliputami. Potraktowaliśmy też ich tak, jak na myśl przyszło: że damy im po szczutku i wszyscy odrazu przepadną. Wtem, jakby jakimś czarodziejskim sposobem, sami nie wiemy, jak i kiedy znaleźliśmy się na ziemi, spowici raz przy razie mocnymi powrozami, ruszyć się nie mogąc. Japończycy oświadczyli nam wtedy, że przecież wiemy, iż niewolno cudzoziemcom wstępować na ich ziemię. Przekroczyliśmy ich prawo, więc za to oni biorą nas do niewoli i zamkną w więzieniu. Ale potem się okazało, że nie przy swem prawie obstawali, lecz podejrzewali, że jestem owym Chwostowem, który przed laty spalił ich wioskę, więc chcieli rzecz zbadać, a potem nas sądzić. Posadzili nas do więzienia, zabrali nam wszystkie rzeczy, nawet drobiazgi. Ale jakie to było więzienie! Wygodny dom, doskonałej żywności więcej, niż trzeba, ciągłe zapraszanie na zabawy u ich szlachty, grzeczność mieszkańców nadzwyczajna i zupełna swoboda. Ale tęsknota nas gryzła, więc postanowiliśmy uciec. Przedarliśmy się w góry i zdawało się nam, że przepadliśmy z oczu Japończykom. Złudzenie! Oni wiedzieli o każdym naszym kroku, tylko się nie pokazywali, bo chcieli

wiedzieć, co też zrobimy. Po długich wędrówkach wyszliśmy na brzeg morski i po jakimś czasie znaleźliśmy barkę rybacką, więc zaraz pospieszyliśmy do niej, aby płynąć do kraju. Wtedy właśnie obstąpili nas Japończycy i znowu w oka mgnieniu leżeliśmy związani. Japoński naczelnik powiedział nam: „Żeście chcieli uciec, to nic; kto kocha swą ziemię, musi tak robić. Ale chcieliście zabrać rzecz cudzą: barkę ubogiego rybaka. Za to pójdziecie do więzienia.“ I rzeczywiście zamknięto nas w prawdziwem więzieniu, razem z innymi przestępcami, ale tylko na dwa dni, potem zaś pozwolono nam wrócić do dawnego trybu życia. W tym czasie porucznik z mego okrętu, Moor, człek próżny i charakteru słabego, postanowił przejść na służbę japońską, zaczął zaś od tego, że donosił na nas niestworzone rzeczy, a odsłaniał przed Japończykami jakieś chytre plany rządu rosyjskiego. Lecz japoński gubernator wszystko to mi powiedział, dodając, że tak niegodziwego człowieka mieć nie chce. Nareszcie, nie wiem jakim sposobem, przekonali się Japończycy, że ja nie jestem Chwostowem i wtedy — po dwóch latach niewoli — wrócili nam wolność. Zwrócili nam wszystkie rzeczy, nawet kawałek zbitego lusterka, dali nam mnóstwo prezentów, uroczyście odprowadzili nas na okręt „Dyanę,“ który znaleźliśmy we wzorowym porządku i zaopatrzony we wszelką żywność. Odpłynęliśmy, żegnani bardzo serdecznie, a gdyśmy wylądowali na Kamczatce, Moor się zastrzelił.“

Taka jest treść pierwszej części dzieła Gołownina. W drugiej, znacznie obszerniejszej, opisuje on Japonię i Japończyków. Między innemi opowiada: „Gryzłem się przekonaniem, że będziemy mieli w nich kiedyś bardzo niebezpiecznego przeciwnika. Syberya musi mieć wylot na ocean, a Japończykom będzie to solą w oku. Ledwo się przysuniemy do oceanu, oni z pewnością wydadzą nam wojnę. Japończycy są dobrymi marynarzami, a przytem są odważni, zdolni do poświęceń dla swego kraju. Przewiduję, że będą mieli dobrą flotę, a obawiam się, aby jej dobroci na nas nie spróbowali. Radzę Rosyi nie lekceważyć ich, a spieszyć się z zajęciem wybrzeży oceanu.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według *Warsz. Dn.* organizuje się w Warszawie Towarzystwo w celu dostarczania bezpłatnych obiadów Żydom, którzy utracili pracę w fabrykach wskutek zastoju wywołanego wojną wschodnią. Podobno już kilkaset osób oświadczyło gotowość płacenia na ten cel 3 rb. miesięcznie.

— Inspekcya fabryczna w Warszawie przystąpiła do obliczenia robotników, wydalonych z fabryk z powodu ograniczenia produkcyi.

— Kilkunastu adwokatów warszawskich zajęło się organizacyą bezpłatnej obrony nieletnich podsądnych w sądach pokoju i w zjeździe: w instytucyach tych bowiem oskarżeni nie korzystają z prawa, wyznaczającego im obrońcę z urzędu.

— W Kaliszu utworzył się komitet udzielania pomocy robotnikom i ich rodzinom, pozbawionym pracy skutkiem zmniejszenia produkcyi w tamtejszych fabry-[illegible]

— We Lwowie zawiązał się komitet celem uczczenia pamięci prof. Piotra Chmielowskiego.

— Na kolejach finlandzkich dawna forma umundurowania służby kolejowej zmieniona ma być na ogólnie używaną w Cesarstwie.

— Dnia 1 maja odbyło się w Berlinie zgromadzenie Polaków, na którem uchwalono protest przeciw nowej ustawie kolonizacyjnej. Zawezwano posłów polskich do jak najenergiczniejszego wystąpienia przeciw niezgodnym z konstytucyą środkom antipolskim i do napiętnowania autorów ustawy w obliczu całego świata, jako barbarzyńców.

— W ciągu marca przybyło do Ameryki 6,931 Żydów, w tej liczbie 5,368 z państwa rosyjskiego, 965 z Galicyi, reszta z innych krajów.

Szkoły i wychowanie. Nauczycielkom domowym, posiadającym odpowiednie świadectwa, pozwolono wykładać język francuski i niemiecki w szkołach miejskich po uzyskaniu upoważnienia ministeryalnego.

— Do uniwersytetu Jagiellońskiego w bieżącem półroczu letniem zapisało się 1,748 słuchaczy i słuchaczek, z tej liczby najwięcej na wydział filozoficzny, gdyż 713 mężczyzn i 116 kobiet, na prawny — 581 słuchaczy, na lekarski — 113 mężczyzn i 17 kobiet, na studya rolnicze — 52 mężczyzn i 33 kobiety, na farmacyę — 7 słuchaczy zwyczajnych i 40 hospitantek.

Zdrowie publiczne. W *Gaz. Pols.* czytamy: „Brak miejsc dla suchotników. Niezwykle znaczna liczba ubogich, dotkniętych suchotami, [illegible] o miejsca w szpitalach. Leżalnia przy szpitalu Dzieciątka Jezus jest przepełniona, miejsc w Mieni niema, do szpitali miejskich, niemniej zapełnionych, chorych chronicznie na płuca nie przyjmują, gnieżdżą się przeto w mieszkaniach wraz z dorosłymi i dziatwą, co grozi niebezpieczeństwem rozpowszechnienia [illegible]“

Wiadomości naukowe. Warszawskie Towarzystwo lekarskie zawiadamia, że w czerwcu r. b. z legatu dr. Romualda Plaskowskiego udzielona będzie zapomoga pieniężna w kwocie rb. 169 kop. 28 dla delegata na jeden ze zjazdów psychiatrycznych, jakie w tym roku odbyć się mogą w kraju lub za granicą. Delegat w myśl woli testatora, obowiązany będzie po powrocie złożyć Towarzystwu lekarskiemu treściwe sprawozdanie naukowe, które następnie będzie wydrukowane w *Pamiętniku Towarzystwa lekarskiego.* Prośby o powyższą zapomogę nadsyłane być mogą pod adresem sekretarza stałego Towarzystwa lekarskiego w Warszawie (ul. Niecała nr. 7) do dnia 15 czerwca r. 1904 z oznaczeniem zjazdu, na który kandydat pragnie wyjechać, z podaniem dokładnego swego adresu i wymienieniem zajęć lub prac swoich w dziedzinie psychiatryi.

Literatura i prasa. Na konkursie „Macierzy polskiej“ we Lwowie, ogłoszonym na utwór dramatyczny dla scen ludowych, żadnej z nadesłanych prac nie uznano za bezwzględnie odpowiadającą warunkom. Za względnie najlepsze uznane zostały „Jasiek sierota“ p. J. Smotryckiego z Grodziska w Królestwie Polskiem i „Wnuka Królewska“ p. Zofii Mrozowickiej. Wobec objaśnienia autorki, że utwór jej drukowany już był przed kilku laty, nagrodę 200 koron i honoraryum od arkusza druku przyznano p. Smotryckiemu.

Koleje i komunikacye. Wydano rozporządzenie, aby rodzinom oficyalistów kolejowych, wysłanych na służbę na Wschód, wypłacano połowę pensyi z dodatkiem na mieszkanie, niezależnie od wynagrodzenia pobieranego przez wysłanego na miejscu.

— Stacye miejskie kolei skarbowych oraz stacye kolei Nadwiślańskich przyjmują przesyłki zwyczajne do miejscowości między Czelabińskiem a Krasnojarskiem, pospieszne do stacyj kolei Syberyjskiej do Bajkału włącznie, z warunkiem kolejnego przyjmowania i wysyłania ich na miejsce przeznaczenia.

Pożary. Spaliło się doszczętnie miasteczko Świsłocz w pow. Bobrujskim.

— D. 2 maja spaliła się najzamożniejsza dzielnica miasteczka Bodzentyna w gub. Kieleckiej — około 200 rodzin straciło dach i mienie.

Zmarli. Franciszek Ksawery Kluczycki, historyk i bibliotekarz, autor pracy p. t. „Pisma do spraw Jana Sobieskiego,“ członek nadzwyczajny Akademii umiejętności w Krakowie. Zmarł w Krzeszowicach w 84 roku życia.

— Antoni Osuchowski, b. profesor nauk fizyczno-matematycznych oraz inspektor szkoły w Lublinie.

— Michał Starycki, dramaturg i pisarz małoruski, w Kijowie.

— Edgar Fawcett, powieściopisarz i poeta amerykański, w Londynie.

— Maurycy Jokaj, znakomity powieściopisarz węgierski. Dłuższe wspomnienie poświęcimy zmarłemu w numerze najbliższym.

Odpowiedzi Redakcyi.

Rokicie. Wiersze nie do druku — banalne myśli, pospolite uczucia i pragnienia nie nabierają poezyi w szacie rymowanej.

Panom Z S. i A. P. Zużytkujemy w najbliższym [illegible]

P. A. K. „Wicher“ nie ma żadnej wartości literackiej. Brak prostoty w pomyśle i naturalności w for-[illegible]

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 29 Апрѣля 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.